

TYDZIEŃ POLSKI

TREŚĆ: Rzym i Kreml. — W sprawie propagandy katolickiej w Rosji. — *Dr. Parago*: Rewolucja czy reakcja? — *Jan Tarnowski*: Prądy polityki angielskiej. — *I. W. Kosmowska*: Związki młodzieży. — Stosunki polsko-ukraińskie. — *Witold Bunikiewicz*: Zmierzch impresjonizmu. — *Jan Lemański*: Paskarz-męczennik. — *Wacław Rogowicz*: Hamlet Padewski. — Zygmunt Sarnecki. — Kronika literacka i artystyczna. — *Ewa Serebnicka-Oleszkowska*: Władysław Zelenki. — Literatura i sztuka u obcych. — Z piśmiennictwa. — Z życia młodzieży.

Rzym i Kreml.

W piśmie do biskupów polskich, zalecającem duchowieństwu niebranie udziału w walkach partyjnych, papież Benedykt XV streścił zasadę, którą niezmiennie kierował się, sprawując rządy w Stolicy Apostolskiej.

„Kiedy ścierają się interesy narodów, — pisał Ojciec św., — Najwyższy Kapłan, Ojciec wspólny wszystkich wiernych, powinien zachować najzupełniejszą bezstronność wobec nich, nie powinien stawać po stronie ani jednych, ani drugich. Tradycyjna ta metoda kapłanów rzymskich była naszą metodą i w czasie wielkiej wojny i również niedawno przed plebiscytem na Górnym Śląsku”.

Zasada ta może nigdy nie była narażona na tak ciężką próbę, jak właśnie w czasie Pontyfikatu Benedykta XV i w dobie wielkiej wojny i w dobie powojennej, kiedy w sercach pozostało tyle nienawiści niewygasłej i krzywd niezapomnianych, a w życiu tyle ran niezagojonych, sporów niezłatwionych i sprzecznych interesów. Lecz Benedykt XV wytrzymał tę próbę i patrząc na krwawe zapasy powaśnionych narodów, nie stanął po stronie żadnego z walczących obozów, lecz nawoływał ludzi do zgody w imię nieba i modlił Boga o pokój na ziemi.

W czasie tej wielkiej burzy dziejowej, która ogarnęła świat cały rzucając, jak fale spienione, naród na naród dwie tylko siły zostały, które wichrowi wojny nie uległy i w walkach narodów udziału nie brały.

Jedna w imię miłości chrześcijańskiej i celów nadziemskich wznosiła się ponad granice państw, ponad nienawiść narodów i wołała ludy ku zgo-

dzie powszechnej. Druga uchodząc od wojny narodów, pod ziemię się kryła i granice państw podkopywała, ale po to tylko by w łonie każdego narodu wzniecić nową wojnę i w imię nienawiści klasowej bez różnicy narodów rzucić jedną część ludzkości na drugą w wojnie cywilnej. Obie te siły zakresliły przed sobą cel powszechny, nie uznając hasel narodowych.

Jedna, skierowując wzrok ludzki ku niebu i budząc troskę o dobra wewnętrzne i wieczne, zachowywała porządek współczesny na ziemi, uświęcała podział na narody i państwa, lecz podporządkowywała je celom i woli wyższemu. Druga w swej robocie podziemnej burzyła ten porządek i budowała bramę, prowadzącą niby do raju ziemskiego, do królestwa wolności, a w rzeczywistości do piekła, gdzie człowiek wolność wszelką traci, najohydniejszej tyranji ulega.

Jedna siła władzę dzierży w Rzymie, którego „bramy piekielne” zwyciężyć nie mogą.

Druga tron swój postawiła w Moskwie, która według tradycji rosyjskiej z XVII wieku miała zostać Rzymem trzecim, a na której bramie historia wyrzyła już straszne słowa:

„Przeze mnie droga w miasto utrapienia,
„Przeze mnie droga w wiekiście męki,
„Przeze mnie droga w naród zatracenia”.

Katolicyzm i komunizm, — to dwie bezwzględnie wrogie sobie siły międzynarodowe i nadpaństwowe, dwa wrogie ideały uniwersalne, powszechne. Były chwile, jak w r. 1918, kiedy po zwycięskiej rewolucji komunistycznej w Rosji, czerwony płomień ogarnął środkową Europę, lub później w roku 1920, kiedy Kreml cieszył się sym-

patją proletariatu całego świata, święcił tryumfy w krajach katolickich, jak Włochy i Francja, i zdawało się, że komunizm zwycięża.

Lecz „branły piekielne” nie zwyciężyły, tron tyranji czerwonej już chwieje się w samej Moskwie, a proletariatu całego świata, otrząsając się ze złudzeń, już czyta straszne słowa, wyryte na bramie Kremlowskiej.

Komunizm, który miał raj na ziemi stworzyć i kamienie w chleb zamienić, nie mówiąc już o niewoli, kamień zamiast chleba ludowi daje i w pustynię obraca ziemię, która chleb rodziła, a Papież Benedykt XV, posyłając zboże do umierającej z głodu republiki sowieckiej i nawołując narody do pomocy dla nieszczęśliwej Rosji, stwierdził raz jeszcze siłę religii miłości i nicość tej doktryny, która dbając o chleb powszedni i nie mając innego ideału prócz ideału sytej ludzkości, nawet chleba dać nie może i umierać z głodu pozostawia człowieka.

W sprawie propagandy katolickiej w Rosji.

Ogłoszony w „Tygodniu Polskim” (№ 51 r. ub.) wywiad z arcybiskupem Roppem w sprawie propagandy katolickiej w Rosji zwrócił na siebie uwagę prasy polskiej, rosyjskiej i ukraińskiej, wywołując rozmaite uwagi krytyczne a nawet obawy.

Z zasadniczą krytyką poglądów, wypowiedzianych przez arcybiskupa Roppa, wystąpił „Kurjer Warszawski” w artykule wstępnym p. t. „Polityka nie dla Polski”.

„Kurjer Warszawski” obawia się szkodliwych następstw politycznych dla Polski w wyniku propagandy katolickiej w Rosji.

„Polska, propagująca w Rosji katolicyzm, byłaby tam ogłoszona za śmiertelnego nieprzyjaciela.

I bądźmy przeświadczeni, że nie tylko przez kler prawosławny. Zsolidaryzowałby się z nim wszyscy szwiniści narodowi i wszyscy liberaliści. Uzbroilibyśmy przeciw sobie wielki obóz, dotknięty do żywego w swych uczuciach najwrażliwszych.

Nastroje te przeszłyby niechybnie na nasze kresy, gdzie żywioł prawosławny jest przecież tak licznie reprezentowany. Dla nas — byłoby to źródłem ciągłego zamętu i niezmiernych kłopotów rządowych, dla Rosji — pretekstem do wtrącania się do naszych spraw wewnętrznych. A cóż powiedziałby świat? Znowu stanęlibyśmy przed jego trybunałem, jako czynnik nietolerancyjny, jako ognisko fantazji politycznych, znowu wskrzeszyby znane oskarżenia. Przytem do obozu liberalów i radykałów przyłączyłby się i ten odłam katolicki, który, jak np. p. Jean Guiraud z *La Croix*, pragnąłby propagowania w Rosji katolicyzmu... ustami ks. Szeptyckiego, drogą Unji, widząc taką tylko i wyłącznie możność praktyczną zdobycia prawosławia dla Rzymu.

Ks. arcybiskup Ropp utrzymuje, że „wspólność wiary zbliża i łączy narody”, ale praktyka

polska wcale nie usprawiedliwia tej optymistycznej tezy; mamy wszak obok siebie litwinów katolickich, wśród których właśnie kler stanął na czele szowinizmu narodowo-politycznego; mamy unitów ruskich, którzy dyszą nienawiścią do Polski i polskości. Tedy i tego wyniku wśród ewentualnie nawróconych rosjan nie może się spodziewać propaganda ks. Roppa, lubo oczekuje „bardzo doniosłych następstw politycznych”.

Prawdy tak oczywiste nie mogą, jak mniemy, być ukryte przed ogółem episkopatu polskiego, który też — spodziewamy się — nie da się unieść fantazjom watykańskim co do nawracania Rosji. Zresztą o stanowisku jego nie doszły nas żadne bliższe informacje. Wiadomo tylko, że na majowym zjeździe biskupów polskich „zastanawiano się nad potrzebami religijnymi katolików w Rosji i nad stosunkiem obrządku łacińskiego do obrządku wschodniego”. Szczegółowych wiadomości sprawozdanie urzędowe nie podało.

Polityka polska ma coś pilniejszego do spełnienia: zaopiekowanie się Kościołem prawosławnym w Polsce, posiadającym tu miljonowe rzesze wyznawców, w tym mianowicie duchu, aby go wyzwolić z pod zależności hierarchicznej od Kościoła rosyjskiego. Nie propaganda, lecz, przeciwnie, zapewnienie bezspornej swobody religijnej i opieki państwowej prawosławnym obywatelom naszymi tkwi w interesie państwa polskiego. Tolerancja wydaje cudowne owoce i ona tylko zdolna będzie zarówno osłabić węzły, łączące świat prawosławny po obu stronach kordonu granicznego, jak z czasem może nawet pomnożyć swobodnie i samorzutnie owczarnię katolicką na naszych kresach”.

Wywody „Kurjera Warsz.” są słuszne, o ile skierowane są przeciwko bezprzecznemu istnieniu w Polsce nietolerancji religijnej i wojowniczym zamierzeniom części kleru polskiego. Oświadczenia jednak ks. arcybiskupa Roppa, wydrukowane w „Tygodniu”, ani osoba jego nie dają podstawy dla posądzeń o nietolerancję i o zamiary nieszanowania swobody religijnej, o chęć nawracania przy pomocy tych środków przymusu, jakimi państwo rozporządza.

Gdyby Państwo Polskie wspierało propagandę katolicką, to mogłyby z pewnością nastąpić te smutne dla Polski następstwa, jakich obawia się „Kurjer Warszawski”. Dla takiej obawy dają podstawę fakty odbierania na kresach od parafii prawosławnych cerkwi, przerobionych z kościołów katolickich, i ponownego przerabiania ich na kościoły. Fakty takie, budzące dawną waśń religijną, powinny wywołać jak najenergiczniejszy protest opinii społecznej świadomej zgubnych następstw waśni religijnych.

W interesie Państwa Polskiego, jak słusznie mówi „Kurjer Warsz.”, zapewnienie bezspornej swobody religijnej i opieki państwowej prawosławnym obywatelom naszym. Państwo Polskie, jako państwo świeckie i tolerancyjne nie może prowadzić żadnej propagandy religijnej. Ale arcybiskup Ropp przemawiał jako przedstawiciel Kościoła Katolickiego a nie Państwa Polskiego. Przedstawiciel każdej religii nie może niedbać o jej szerzenie. Jeżeli ks. arcybiskup Ropp, jako nuncjusz papieski w Rydze będzie szerzył propagandę katolicką na wschodzie, lub jeżeli wróciwszy na swe dawne stano-

wisko metropolity katolickiego w Rosji, będzie nawracał (oczywiście dobrowolnie) rosjan na katolicyzm, czy może zaszkodzić to Państwu Polskiemu i stosunkom polsko-rosyjskim.

Powołując się na przykład stosunków polsko-litewskich i polsko-rusińskich w Galicji, „Kurjer Warszawski” zbija twierdzenie arcybiskupa Roppa, że „wspólność wiary łączy i zbliża narody”.

Zapewne antagonizmy narodościowe bywają tak silne, że nawet wspólna religia nie łagodzi tych antagonizmów, ale nie można zaprzeczyć, że wspólność wiary jest jednak jednym z pierwiastków, ułatwiających zbliżenie narodów, a waśń religijna pogłębia jeszcze nienawiść narodów. W walce polsko-rosyjskiej antagonizm kościołów rzymskiego i prawosławnego wielką rolę odgrywał.

Jeden z najgłębszych umysłów rosyjskich — Czaadajew poczytywał za nieszczęście Rosji że nie weszła w skład katolickiej rodziny narodów i przez to została odciętą od cywilizacji Zachodniej. Jeden z najzacieśniej patriotów rosyjskich, wzniosły myśliciel Włodzimierz Sołowjow marzył o połączeniu kościołów a sam przeszedł na katolicyzm.

Czy marzenia podobne mają podstawę realną, czy propaganda katolicka w Rosji, może mieć szersze powodzenie, to inna kwestja. I pod tym względem zdaje się sam ks. arcybiskup Ropp nie ma wielkich złudzeń. Ale tu chcielibyśmy tylko wyjaśnić, że propaganda katolicyzmu w Rosji, a nietolerancja religijna, uprawiana dziś na kresach naszych, to są dwie różne rzeczy.

Rewolucja czy reakcja?

I.

Wśród obecnego chaosu i dezorientacji na pierwszy plan wysuwa się pytanie: co dalej? Jakie niespodzianki gotuje nam przyszłość? Wszyscy prawie zgadzają się, że stan obecny przedstawia sobą chaos, że byt państwa jest zagrożony. Ale jedni obawiają się rewolucji, inni znowu mówią o reakcji. Jedni mówią: grozi nam rewolucja, gdyż górę biorą czynniki rozkładowe, lewicowe i socjalistyczne, które prowadzą prostą drogą do bolszewizmu. Inni powiadają, że reakcja się zwiększa, i że o ile władza przejdzie w ręce stronnictw reakcyjnych, lud tego nie ścierpi i wybuchnie rewolucja. Od trafnej odpowiedzi na to pytanie zależeć musi linja naszego postępowania. Czy rzeczywiście grozi nam rewolucja? Nie ta „wielka” rewolucja, o której pisze prof. S. Grabski, ale choćby „mała rewolucja”, jak ostatnia rewolucja węgierska. Możliwości takiej wykluczać niepodobna. Jeżeli nam powiedzą, że dla wywołania rewolucji potrzebny jest udział większości narodu, szerszych mas ludowych, odpowiemy, że to jest wcale zbyteczne: wystarczy, aby większość narodu była obojętna, zachowywała się biernie względem czynnej, energicznej, zdecydowanej i zorganizowanej rewolucyjnej mniejszości, o ile aparat rządzący jest uszkodzony i zdemoralizowany. Wtedy walka rozgrywa się właściwie tylko między rządem i mniejszością rewolucyjną, a społeczeństwo jest w roli mniej

lub więcej obojętnego widza. Jeżeli w tym wypadku zwycięży grupa rewolucyjna, będziemy mieli „małą” rewolucję (rok 1830, 1848, 1871 w Paryżu, komunistyczna powojenna rewolucja na Węgrzech, rewolucje w Austrii i w Niemczech). Jeżeli do grupy rewolucyjnej przyłączy się cały naród, jeżeli uruchomi się cała masa ludzka, będziemy mieli „wielką” rewolucję. A więc w interesującej nas materji trzeba uwzględnić trzy czynniki: elementy rewolucyjne, rząd i ogół społeczeństwa.

Czy mamy w Polsce dość silne i zorganizowane czynniki i grupy rewolucyjne? Odpowiedź: komuniści. Ale ci komuniści byli do niedawna „*quantité négligeable*” nawet w oczach swych najzagorzalszych przeciwników — skrajnej prawicy i P. P. S. Jeżeli Liga antybolszewicka i pokrewne organizacje rozwijały swoją działalność i od dawna używały straszaka komunizmu, czyniły to właściwie nie z obawy przed komunizmem, lecz dla zdystansowania swoich przeciwników z lewicy, których — od P. P. S. do demokratów wszelkiego rodzaju i autoramentu wczambu! zaliczały do bolszewików. I P. P. S., szczerze i niezmordowanie zwalczająca bolszewików, w niebezpieczeństwo komunistyczne nie wierzyła i zdaje się nie wierzy, zwalczając ich przeważnie jako konkurentów politycznych. Tymczasem fakty życia codziennego zadają kłam tym optymistycznym nadziejom; liczba zwolenników komunizmu zwiększa się wśród robotników w sposób poważny; komuniści zajmują placówki opuszczone przez socjalistów w związkach zawodowych, biją ich na terenie kas chorych — fakt, którego nikt przed kilku miesiącami nie mógł się spodziewać. Komuniści w walce z socjalistami mają trzy atuty: olbrzymie środki pieniężne, bezwzględność metod demagogicznych i poparcie całej masy żydowskiej; a ponieważ ta masa liczy się nie na setki tysięcy, lecz na miliony, więc już sama przez się przedstawia siłę groźną. Okoliczność, że żydzi w istocie rzeczy nie są komunistami, ani nawet socjalistami, a popierają bolszewizm z nienawiści do państwowości polskiej i li tylko w celu roszadzenia tej państwowości, narazie nie zmienia sytuacji. P. P. S. w Polsce, jak es — decy i es — erzy w Rosji, chcą walczyć z komunistami szlachetną bronią, słowem i piórem, i zostaną (może tylko czasowo) zmiecenici z powierzchni życia politycznego, jak ich rosyjscy towarzysze, bo w walce rewolucyjnej wygrywa tylko przeciwnik zdecydowany, nieubłagany i bezwzględny, a kierenszczyzna — zawsze jest skazaną na pożarcie. Ten, kto nie włada obu pięściami równomiernie i może zadawać ciosy tylko na prawo, będzie zawsze pobity z lewej strony.

Podczas ostatnich wyborów do kas chorych P. P. S.-cy ponieśli porażkę w Warszawie, jeszcze większą w Zagłębiu Dąbrowskiem, porażkę, jakiej się nie spodziewali. Jest to miarodajne dla sprawności i popularności obu organizacji. Ale komuniści dopiero zaczynają. są jeszcze na dorobku, gdy ich przeciwnicy mają za sobą imię, przeszłość i sztandar. Kilka wieców P. P. S. było podobno rozbitych przez komunistów; i to jest charakterystyczne, że P. P. S.-owcy, którzy nie pozwolą rozbić swoich wieców chadekom i narodowcom, przeciwnie, dość sprawnie potrafią rozbić wiece organizacji prawicowych, co i robili

nieraz, nie mogą dać sobie rady z komunistami. Naturalnie, nie jest to straszne, że na przyszłych wyborach do Sejmu wejdzie 50 czy 80 komunistów, i że mogą oni być drugim lub trzecim stronnictwem co do liczby, gdyby bolszewicy w Polsce dążyli do walki na drodze parlamentarnej. Ale te setki tysięcy wyborców komunistów wszak parlamentaryzmu nie uznają i dążyć będą do swego celu innemi drogami; przykłady—Rosja i Węgry. Oprócz części masy robotniczej i całej masy żydowskiej komuniści znajdą podatny grunt w innych elementach obcoplemiennych na kresach, a także wśród setek tysięcy uchodźców z Rosji, znajdujących się w ciężkich warunkach, zdemoralizowanych i rozgoryczonych. A więc środowisko dla stworzenia mniejszości rewolucyjnej mamy podatne, tak podatne, jak w żadnym innym kraju, nawet w Rosji przedwojennej. Trzeba uprzytomnić sobie sprawność organizacji bolszewickiej, pomysłowość w prowadzeniu agitacji i propagandy, czego dowody widzimy w Europie zachodniej. A wszak nasze masy robotnicze co do uświadomienia nie mogą się chyba równać z robotnikami Anglii, Francji, nawet Włoch.

Co można przeciwstawić tej dobrze zorganizowanej, zdecydowanej, poważnej ilościowo i bezwzględnej masie rewolucyjnej? Przedewszystkiem rząd i organizację państwową. Niestety, co do rządu, przynajmniej przed wyborami do przyszłego Sejmu, nie można mieć żadnych iluzji. Rząd jest chory, nieuleczalnie chory—nie rząd obecny, ale każdy rząd, któryby się utworzył w podobnych warunkach. Czy rząd, wyłoniony z nowego Sejmu, będzie lepszy, o tem trudno mówić obecnie. Miejmy nadzieję, że będzie lepszy, zapewne będzie lepszy, ale czy stanie na wysokości zadania, w to uwierzyć trudno. Cała nasza tradycja państwowa, a raczej bezpaństwowa, uprawnia do sceptycyzmu. Nietylko przed rozbiorem, ale w chwilach walki o niepodległość, w rewolucji Kościuszkowskiej, w rewolucji r. 1830 nie widziemy silnego rządu, a silny rząd mógł nas wtedy utować; widzimy tylko wahania i kompromisy. Nie będzie to może paradoksem, jeżeli powiemy, że najlepszy, najsilniejszy i najbardziej zdecydowany rząd, jaki mieliśmy, to był tajny, anonimowy rząd 1863 roku — i to pomimo tylu zmian w składzie rządu, zamachów etc. I ten rząd cieszył się największą powagą moralną. I gdyby Traugutt obecnie mieszkał w Belwederze, można by było pogodzić się nawet z dyktaturą...

II.

Trzeba odrazu powiedzieć sobie, że pojedynek między rządem i mniejszością rewolucyjną może skończyć się kapitulacją rządu, jeżeli się nie wmieści trzeci, najważniejszy czynnik—społeczeństwo. Czy społeczeństwo poprze rząd, lub czy będzie w stanie dać sobie radę pomimo rządu wraz z jego bankructwem i niemocą? W tem cała sprawa. Dotychczas w społeczeństwie widzimy chaos, nieufność i rozczarowanie; chaos pojęć i orjentacji, nieufność obywateli do wszelkiego rządu i jednych stronnictw do drugich, rozczarowanie i zniechęcenie do polityki, bierność i oczekiwanie cudu. Cudu nie będzie; pomoc musimy sobie sami. Jeżeli społeczeństwo

się zorganizuje, jeżeli większe masy bezpartyjne zorganizują się zawczasu i będą gotowe do czynnego wystąpienia w obronie zagrożonej państwowości — rewolucji nie będzie.

Zapewne, nie grozi nam „wielka“ rewolucja. Ale nawet „mała“ w warunkach obecnych grozi Polsce utratą niepodległości, czwartym rozbiorem. Polska nie znajduje się w takich warunkach terytorjalnych, jak Rosja, i rewolucja w Polsce łatwo by była stłumiona interwencją obcą; nasi sąsiedzi Niemcy i Czesi podjęliby się tej roli z przyjemnością. A po stłumieniu rewolucji — „małej“ czy „wielkiej“ — nastąpiłaby taka reakcja, w porównaniu z którą reakcja węgierska jest dziecinną igraszką. Kto nie chce reakcji, nie powinien życzyć rewolucji.

Na to wszystko powiadają, że obawy przed rewolucją są płonne, natomiast groźną jest zwiększająca się fala reakcji. Że prądy zachowawcze w społeczeństwie zyskują coraz więcej gruntu, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Do tego są słuszne powody. Przedewszystkiem tryumfy reakcji wywołane są odruchem naturalnym przeciw bolszewizmowi i komunizmowi, z którymi liberalizm „laissezfaire“ sfer rządzących nie może sobie dać rady. Powtóre, jest to odruch zachowawczy, do pewnego stopnia akt samoobrony. Kiedy mówi się o grożącej rewolucji, trzeba stwierdzić, że już od trzech lat rewolucja u nas nastąpiła, jak w wielu państwach Europy centralnej, rewolucja na szczęście bezkrwawa. Społeczeństwo polskie, naród polski, żyjący przed wojną w warunkach politycznych XIX wieku, a w Kongresówce XVIII wieku, uzyskał odrazu nietylko niepodległość, ale instytucje demokratyczne, najnowsze zdobycze demokracji, o których szersze masy dotychczas nie miały pojęcia: Sejm, powszechne prawo wyborcze, wszelkie swobody, szereg instytucji samorządowych. Dostał to wszystko bez czynnego świadomego wysiłku ze swojej strony, bez walki. Gdy demokracja zachodnia w ciągu stuleci walczyła i zdobywała placówki mozolnie, krok za krokiem, ucząc się stopniowo sztuki rządzenia, kształcąc się w walce i pracy, my tej szkoły nie przeszliśmy. Nasze masy ludowe, włościańskie i robotnicze ze stanu bezwzględnej niewoli przeniesione zostały odrazu do stanu suwerenów. I mało kto z demokratów powie im, że sztuki rządzenia należy się uczyć, że do tej roli trzeba się długie lata przygotowywać. Nic więc dziwnego, że mając instytucje bardzo liberalne, demokratyczne, mamy *niedemokratyczną demokrację*, demokrację reakcyjną, że ideał nic nie robiącego, paskującego i opływającego we wszystko burżuazja jest dążeniem i ideałem wielu, bardzo wielu z masy ludowej. To też reakcji należy szukać nie w osławionym Senacie czy w innych instytucjach, lecz w samym społeczeństwie i najszerszych masach. Nie w tem leży zło, że instytucje mamy mało demokratyczne, lecz że ogół społeczeństwa nie dorósł jeszcze do tych instytucji, nie posiada sztuki rządzenia i sztuki samorządu. Że chłop jest zachowawcą, konserwatystą — o tem wiemy wszyscy; ale mało co mniej zachowawczym jest i robotnik polski, jeżeli tę rzecz ująć głębiej. Kroczenie po linii najmniejszego oporu, skłonność do rutyny, niechęć do wysiłków indywidualnych, lenistwo myśli

— w tem jest cecha rzeczywistego reakcjonizmu. A więc naród trzeba najprzód wychować, do nowych instytucji przyzwyczaić, wzbudzić zaufanie do własnych sił i wdroyć do samodzielnej myśli krytycznej. Na to trzeba czasu. I taki proces może się odbywać tylko w warunkach spokojnych.

Ale, oprócz liberalnych czy demokratycznych zachowawców, są jeszcze warstwy rzeczywiście reakcyjne, marzące o powrocie do dawnych stosunków, choćby częściowo, „o wzięciu za łeb” chłopu i robotnika, o utraceniu reformy rolnej lub o powrocie dawnych wpływów Rzymu i kleru na sprawy narodowe. Reakcja ta nietylko szczerze obawia się rewolucji — nie rozumie ona grozy położenia — co na tej rewolucji spekuluje. Pod maską walki z bolszewizmem stara się ona pognać swoich politycznych przeciwników, od socjalistów do ludowców, wolnomysłicieli i demokratów różnego rodzaju. Że prawica niebezpieczeństwo komunizmu w gruncie rzeczy bagatelizuje i na bolszewizmie spekuluje, na to dowodem może służyć nieostrożny artykuł „Myśli Narodowej” („Dwie nowalje” № 9 z 17-go grudnia 1921), na który zwrócił uwagę „Robotnik”. Z powodu konfiskaty piśmka Drobnera, organizującego w Małopolsce legalną grupę „socjalistów niezależnych”, t. j. właściwie komunistów, i obiecanych przez tegoż Drobnera „niesłychanych rewelacji o roli C. K. Daszyńskich w czasie wojny”, autor artykułu, snać bardzo spragniony tych rewelacji, zadaje pytanie: „czy nie byłoby polityczniej dać na jakiś czas upust prasowy komunistom i pozwolić im na wygadanie się. Czy wskazaną jest metoda gnienienia ich bez pardonu, wypędzania w podziemia i propagandy tajnej”... Czy wskazane jest takie masowe trzymanie komunistów w więzieniach i stwarzanie na lata przyszłe legendy i martyrologii komunistycznej... Dalej autor powiada, że „nasze dzisiejsze metody zwalczania komunizmu, polegające na przepelnieniu w turmach i zakneblowaniu ich prasy, są ostatecznie całkiem rosyjskie i zgoła nie europejskie”. Skąd ta nadzwyczajna łagodność, ten niespodziewany liberalizm po tak długim hałasie i alarmach, które robiła cała prasa prawicowa właśnie w celu rychlejszego uchwalenia jak najsurowszej ustawy? Odpowiedź znajdziemy w tym samym artykule „Myśli Narodowej” o parę wierszy niżej. Ostatecznie nie trzeba sobie robić iluzji, powiada autor, że do przyszłego Sejmu nie wejdą komuniści w większej cyfrze. *Dlaczego w walce z rozwyzdzonym socjalaktywizmem i rozbuchaniem chłopstwem gardzić tak krótkowzrocznie doskonałym sukursem ze skrajnej lewicy?* A więc niech komuniści i P. P. S., piastowcy i thugutowcy pożerają się wzajemnie, a właściwie niech bolszewicy pożrą socjalistów i ludowców; jednym silnym wrogiem będzie mniej. Socjaliści i stronnictwa chłopskie — to dla skrajnej prawicy niebezpieczeństwo bliskie, realne, to bezpośredni kandydaci do władzy, do podziału łupu, do tek ministerjalnych, a komuniści — ci zawsze będą w mniejszości. Dać im swobodę ruchów, a po zdystansowaniu i wytępieniu przez nich stronnictw robotniczo-ludowych można będzie puścić w ruch i ustawę przeciw komunistom. Wtedy zapewne przyjdzie czas na terror rządowy. Ale pan (n.) i jemu podobni za-

pominają, że, jak widzimy na przykładzie Rosji, nieskrępowani niczem komuniści zbyt szybko pochłaniają inne stronnictwa mniej skrajne; że stanowią mniejszość w Sejmie, będą jednak wchodzić w rachubę w kombinacjach i blokach partyjnych, a tem samem pośrednio wpływać i na rząd; że zresztą najniebezpieczniejsza akcja komunistyczna, to akcja poza parlamentarną, i że wszystkie państwa europejskie, na które powołuje się „Myśl Narodowa”, zarzuciły już w walce z komunizmem uproszczoną receptę: „dać się wygadać”. Ale autor „Dwóch Nowalji” odkrył karty przedwcześnie. Może ma nadzieję, że wśród chaosu i zamętu, jaki z konieczności powstanie, organizacje prawicowe, jako czynne i na wszystko zdecydowane, staną się jedyną praworządną i niezbędną grupą, powołaną do akcji ratowniczej. Rzeczywiście dotychczas jedynie grupy prawicowe zajmują stanowisko wyraźne i określone do żywiołów wywrotowych i anty-państwowych, stanowisko to popierają czynem, mają dobrą organizację i gotowe są siłą odeprzeć siłę — więc szersze masy inteligencji i nawet ludu, widząc w tych stronnictwach jedynych obrońców porządku społecznego, idą za nimi. Masy instynktowo wy czuwają grozę położenia, dokuczył im nieład i chaos. Mając do wyboru komunizm na lewicy lub anarchję myśli i zanik woli u przedstawicieli stronnictw centrowych, idą za tymi, kto ma wyraźny program i jedyną niezawodną metodę na czas kryzysu. A metoda ta jest prosta: „Z wrogami się nie rozmawia, wrogów się bije”, powiedział kiedyś Lenin. Tej metody trzymają się wszędzie komuniści i wygrywają, trzyma się jej u nas i prawica, i zyskuje teren. Omyłka stronnictw umiarkowanych na tem właśnie i polega, że chcą one zastosować do przeciwników państwowości, nie przebiegających w środkach bezwzględnych, metody pojedynku szlachetnych, metody armji zbawienia lub Kierenskiego. Tego ludzie z niespaczonem politykowaniem, zdrowym rozsądkiem zrozumieć nie mogą. Ta niezdecydowana, dwuznaczna pozycja grup centrowo-lewicowych daje powód do mniemania, że w tych grupach właśnie komuniści mają ukrytych stronników i sympatyków do ryczałtowego posądzenia demokracji o bolszewizm. My wiemy, że jest to nie bolszewizm, lecz zwykłe mazgajstwo i doktrynerstwo. Niesprzeciwianie złemu za pomocą siły nie jest, niestety, cechą wyłącznie rosyjską.

(D. n.).

Dr. Parago.

Prądy polityki angielskiej.

Polityka angielska może czasem wydawać się dziwną i zbijającą z tropu przez swe nagłe skoki w kwestjach najważniejszych. Naprzykład, w kwestji wschodniej widziano nieraz Wielką Brytanię, zmieniającą nagle stanowisko względem Rosji i Turcji bez żadnej przyczyny, mogącej tę zmianę frontu usprawiedliwić.

Sprzecznosci polityki angielskiej przypisać należy, zdaniem osób kompetentnych, różnorodnym prądom rządzącym opinią angielską i które

kolejno tą polityką kierują. Te prądy są potrójnej natury: wyznaniowej, humanitarnej i ekonomicznej.

Pierwszy z tych prądów, płynący ze sfer duchownych anglikańskich, miałby wieść Anglię do zbliżenia z Rosją, w celu uzyskania przez to zbliżenia unji kościoła prawosławnego z anglikańskim. Rzeczywiście, wysocy przedstawiciele obu tych kościołów zbierali się parokrotnie w tym celu. Ostatnie zebranie tego rodzaju miało miejsce w Petersburgu, w 1913 r., pod łaską, jeśli nas pamięć nie myli, biskupa chełmskiego Eulogjusza. Mimo, że w kwestiach dogmatycznych nie przyszło do porozumienia, powzięto na tem zebraniu uchwałę, którą cesarz Mikołaj uznał i zatwierdził, jako głowa kościoła prawosławnego. Niektórzy utrzymują, że głową tego kościoła nie był car, ale święty Synod. Jednakże zaprzeczyc się nie da, że i tym Synodem rządził samowładnie prokurator tego Synodu, który był świeckim urzędnikiem, mianowanym przez cesarza i który jego osobę na posiedzeniach Synodu zastępował.

Oto uchwała, o której mowa, powzięta na owem zebraniu angielskich i rosyjskich dostojników kościelnych: Rosjanie prawosławni, bawiący w Wielkiej Brytanji, mogą, wrazie potrzeby, uciekać się o pomoc duchowną do ministrów anglikańskich, jeśli nie mieli duchownych własnego wyznania. To samo prawo przysługuje osobom wyznania anglikańskiego, przebywającym w Rosji, które w takiej samej potrzebie i w takim samym wypadku uciekać się mogą do duchownych prawosławnych.

Ponieważ, z drugiej strony, Rzym dąży do podobnego celu, mianowicie do unji kościoła rosyjskiego z rzymskim, miał stąd powstać między kościołem katolickim i anglikańskim antagonizm, jakoby niezwalczony ze strony angielskiej. I ten antagonizm miałby kierować politykę angielską na tory wrogie wszelkiemu państwu o ludności przeważnie katolickiej, jak: Francja, Polska, Austro-Węgry, Bawaria i t. p.

Temu oto antagonizmowi należałoby przypisać, zdaniem rzeczonych osób kompetentnych, niektóre fakta, jakie miały miejsce w 1919 r. na konferencji pokojowej, gdzie wpływy angielskie najwyraźniej odczuwać się dawały.

Temi faktami są:

1. Niezwracanie uwagi na interesa najżywniejsze Francji i Polski, ani na aspiracje najbardziej usprawiedliwione tych dwóch państw.

2. Wykreślenie z karty Europy monarchji Austro-Węgierskiej, z zachowaniem natomiast na tej karcie Prus, i oszczędzanie tych ostatnich o ile możliwości jak najwięcej.

3. Oddanie Bawarii całkowicie w ręce pruskie, przez poddanie wszystkich bez wyjątku krajów konfederacji niemieckiej pod bezwzględną hegemonję Berlina.

4. Wreszcie, przeszkodzenie, dla tych samych przyczyn, oderwaniu się prowincji nadreńskich od Prus. Prowincje nadreńskie są katolickie, a Prusy są wyznania luterńskiego i jako takie, nieubłaganym wrogiem Rzymu.

Tym samym wpływom należałoby przypisać w znacznej mierze usiłowania, kierowane przeciw interesom francuskim w Azji Mniejszej, dążące do zmniejszenia urroku Francji w oczach chrze-

ścijan na Wschodzie, których Francja była dotychczas oficjalną i niezaprzeczalną protektorką.

* * *

Ten prąd natury wyznaniowej, sprzyjający Rosji prawosławnej i Prusom luterńskim, miałby być poparty innym prądem, płynącym ze sfer liberalnych angielskich o tradycjach politycznych Gladstona.

Polityka Gladstona, opierająca się na zasadach humanitarnych, dążyła do rozbioru Turcji z powodu częstych rzezi chrześcijan pod panowaniem tureckim. Na początek chciała ona wpływy europejskie na Wschodzie rozdzielić między Rosję i Wielką Brytanię, z pewnym udziałem Niemiec, ale z obniżeniem wpływów francuskich do minimum.

Liberalowie angielscy utrzymywali, że Francja, zajęta wyłącznie sprawami wewnętrznymi, nie była w możności zabezpieczenia losu ludności chrześcijańskiej w Turcji, przez zapewnienie tej ludności należytej opieki. Dla doprowadzenia Francji do zrzeczenia się swych praw wiekui- stych na Wschodzie, trzeba było przedewszystkiem obniżyć jej znaczenie w Europie. Dlatego to widziano w 1870 r. Rosję, trzymającą w szachu Austrię, by jej przeszkodzić w połączeniu się z Francją przeciwko Prusom (Austria szukała odwetu za Sadowę), a Anglię widziano przyjmującą ze spokojem pogrom Francji i utworzenie militarnej potęgi kontynentalnej w postaci Cesarstwa Niemieckiego z hegemonją pruską, pod berłem Hohenzollernów.

Drugą cechą, która charakteryzuje liberalów angielskich, jest ich łatwowierność, objawiająca się, jak u dzieci, niezachwianą wiarą w to, czego pragną. Żywią oni np. bezgraniczne zaufanie w dobrą wiarę i przychylność dla Anglii jej najzaciętszych i najprzewrotniejszych wrogów. A tę łatwowierność ci liberalowie posuwają do tego stopnia, że w ich przekonaniu najlepszym sposobem rozbrojenia i zjednania sobie tych wrogów byłoby robienie im we wszystkim jaknajdalej idących ustępstw.

W takim oto duchu zawarty został w 1907 r., przez liberalny gabinet londyński (Asquith i Sir Edward Grey), układ anglo-rosyjski o Persję. Ten układ oddawał z dziewiętnastu prowincji, z których Persja się składa, piętnaście ze stolicą Teheranem pod wyłączne władanie Rosji. Z pozostałych czterech prowincji trzy uznano za neutralne, to znaczy, że w nich wpływy rosyjskie i angielskie się równoważyły. Zaś jedną tylko z pozostałych czterech prowincji perskich uznano za podlegającą wyłącznie wpływom Wielkiej Brytanji.

Mocą tego układu, Rosja stawała się faktyczną panią całej Persji. Kto włada stolicą danego państwa, trzyma całe to państwo pod swym wpływem.

W osiem lat po tym układzie, mianowicie w latach 1915 i 1916, nastąpiły dalsze układy anglo-rosyjskie w tym samym duchu. Te układy zwą się paktami londyńskimi, a przyznawały Rosji: Konstantynopol, całą Armenję i wylot na morze Śródziemne przez ogłoszenie przybrzeżnego miasta Alexandrette wolnym portem, z dostępem doń, zapewnionym dla Rosji, przez posu-

nięcie granicy armeńskiej po ten port (Sir Edward Grey).

Doprowadzenie w ten sposób Rosji samemu do granic Egiptu i Indji było w oczach liberałów angielskich uchYLENIEM niebezpieczeństwa pochodzącego rosyjskiego ku tym granicom, czyniąc ten pochód niepotrzebnym.

W takim samym duchu zezwolono przed wojną, ze strony angielskiej (Sir Edward Grey), na wzięcie udziału przez Niemcy w budowie i eksploatacji kolei Bagdadzkiej.

Otwieranie dobrowolne samemu dostępu do Indji Niemcom usuwało niebezpieczeństwo ewentualnego torowania sobie przez nie tego dostępu siłą.

(D. n.).

Jan Tarnowski.

Związki młodzieży.

Praca w kraju.

Zrzeszenia młodzieży, tworzone po za granicami kraju, nie mogą dać wiernego odbicia jej dążeń, przepływać bowiem przez nie muszą z konieczności potężne prądy, będące emanacją ducha obcych społeczeństw, których psychika inaczej się kształtuje. Natomiast związki organizowane w ojczyźnie, w jej tak trudnych a do niedawna niewolnych warunkach, są niejako probierzem charakterów i nieomylnym wskaźnikiem prężności siły obronnej. Tę niesłychaną prężność wykazują Związki Tomasza Zana, wśród młodzieży szkolnej w zaborze pruskim tworzone, Związki młodzieży włościańskiej w b. Królestwie i wreszcie związki robotnicze „Siła” w ks. Cieszyńskim. Te trzy odrębne typy organizacji pragnęlibyśmy pokrótce scharakteryzować.

W 1920 i 1921 r. odbywały się w Wielkopolsce i na Pomorzu zjazdy likwidacyjne istniejących tam od 1848 r. tajnych związków młodzieży. Poraz pierwszy ujawniono publicznie dzieje tej długoletniej pracy konspiracyjnej, wykazującej wprost bezprzykładną wytrwałość w raz podjętych zamierzeniach, umiejętność uchylania się od ingerencji w całą, bardzo rozgałęzioną akcję, czujnej policji pruskiej, nieulekłą postawę wobec represji i prześladowań i to w niedorośle, nie mogącej być jeszcze życiowo zahartowanej młodzieży. Zdziwiał też w tej całej organizacji, ogarniającej wszystkie szkoły średnie, konsekwentne przeprowadzenie planu pociągnięcia do zgodnej współpracy młodzieży wszystkich klas i stanów, rozszerzenie akcji uświadczenia narodowego na wszystkie warstwy ludności. Wykazują nam to dowodnie akty procesów, wytaczanych przez władze pruskie młodocianym „zbrodniarzom”. W ostatnim dwudziestolecu odbyły się trzy takie sądowe rozprawy: w 1901, przeciwko akademikom w Poznaniu, w 1902 zaś i 1903 w Gnieźnie i w Toruniu przeciw młodzieży szkolnej i współdziałającej z nią młodzieży pracowniczej. Oskarżające mowy prokuratorów i wywody obrońców obwinionych, to wspaniałe dokumenty tej siły odpornej narodu, która niczem się ugiąć i złamać nie dała, a w młodym pokoleniu szczególnie objawiała się zawsze w sposób iście podniosły i niepowściągliwy. Oskarżenia objawiają nam doskona-

łość organizacji, która wszędzie dotrzeć potrafiła, gruntownie ułożony plan samokształcenia w rzeczach polskich, od znajomości języka poczynając do poznawania arcydzieł literatury i dziejów ojczyźnych, mówią nam o bibliotekach, które młodzież umiała sobie w szkołach gromadzić, wbrew temu że z nich, rozkazem władz, polska książka była wygnana, mówią wreszcie o porozumiewaniu się bardzo ostrożnym i nieśmiałym z młodzieżą uniwersytecką Lwowa i Krakowa. Ten ostatni zarzut, jako ujawniający dążenia wszechpolskie, był najwięcej groźnym i obciążającym. W procesie toruńskim „hersztem” „bandy” był chłopiec wiejski z Pomorza, Orszulok. Skazując oskarżoną młodzież na krótsze lub dłuższe kary więzienia, pozbawiano jednocześnie „za niemoralność” maturzystów prawa do jednorocznej tylko służby wojskowej. Oto jakie słowa przytoczył obrońca z zapisków owego chłopca, zwalczając zrobiony mu zarzut „niemoralności”. „Musimy stać się światłem i solą ziemi. Aby tę wzniosłą misję wypełnić, musimy możliwie stać wysoko pod względem duchowym i moralnym. Nasi rodzice mieli wiele zmartwień, z powodu procesów, które ciągle nam grożą, będziemy starali się wynagrodzić im później doznana boleść”.

Dodać jeszcze należy że młodzież w tej gorącej i wytrwałej akcji swojej, była coraz więcej osamotniona. Minęły już dawno rewolucyjne echa lat 48, gdy związki zostały pod patronatem Libeltów, Estkowskich i Marcinkowskich utworzone; społeczeństwo polskie pod zaborem pruskim „przystosowywało” się z latami do zmienionych warunków. Wszakże i do rozbrojenia Niemców i do wypędzenia ich z kraju w 1919 r. wzięli się tylko najmłodsi. Pierwsza „ostrożna” Rada Ludowa nie przyjęła też oferty delegatów Związków Tomasza Zana, którzy chcieli objąć początkowy etap nauczania języka polskiego w odniemczonych szkołach, uznając ich za mało „doświadczonych” na nauczycieli, ich, co tyle burz i prześladowań przetrwali i wiarę swoją utrzymali.

Postępując tym śladem, jakież kwalifikacje do pracy społecznej przyznalibyśmy młodzieży włościańskiej w b. Królestwie, która, w większości swej, żadnej nie skończyła szkoły, a już od 1910 r. w latach poprzedzających wielką, wszechświatową wojnę rwała się do szerszej działalności, do reformy istniejących stosunków. Duch wieje tam, gdzie chce, bez względu na stawiane mu przeszkody i ograniczenia.

Tu pierwszym jego impulsem były jednoroczne kursy gospodarcze, które udało się społeczeństwu polskiemu wyłączyć z ogólnego systemu rusyfikacyjnego szkolnictwa elementarnego. Zakłady tego typu jeszcze bardzo nieliczne obejmowały swoim wychowawczym wpływem zaledwie małą część młodzieży płci obojej, a jednak stały się znakomitami rozsadanikami kultury duchowej i umysłowej; ta młodzież bowiem, która z nich wychodziła, czuła się powołaną do roli propagatorów oświaty i uspołecznienia. Z jej inicjatywy i za jej poparciem, tak redakcyjnym, jak finansowym, założone zostały dwa pisemka: Młodzi idą i Drużyna i te stały się rodzajem centru organizacyjnego. Na ich łamach młodzi społecznicy wypowiadali się ze swymi dążeniami i zamiarami. Czego tam nie było! I plany zakładania wzoro-

wych kolonij współdzielczych, któreby przykładem swoim wpłynęły na udoskonalenie ogólnej gospodarki rolnej, i programy podniesienia poziomu życia etycznego przez unikanie alkoholu, tytoniu i hucznych, bezmyślnych zabaw, i postanowienia opodatkowywania się na rzecz zakładania bibliotek i nabywania pism i książek i wreszcie próby wylewania swych długo tłumionych wzlotów i porywów w mowie wiązanej, objawów szczerego talentu niepozabawionej. Najbujniej rozwinęły się Związki młodzieży wiejskiej za czasów okupacji niemieckiej. Zbiegło się to, dziwnym trafem, z setną rocznicą założenia Tow. Filomatów w Wilnie, świadcząc niezbić o jednolitości psychiki narodowej.

Tysiące Związków czynnych na terenie b. Królestwa rozwinęło żywą działalność w zakresie samokształcenia, zakładania bibliotek i czyteln, urządzania uroczystych obchodów rocznic narodowych, tworzenia trup teatralnych, organizowania orkiestr, chórów i straży ogniowych. Borykano się też, w urządzaniu kursów ogólnokształcących, z brakiem chętnych wykładowców z pośród inteligencji miejscowej. W ciągu jednego tylko roku młodzież zrzeszona zakupiła 30.000 tomów książek. Związki stanowiły korzystne podłoże dla kadrów P. O. W., która wśród nich osiągnęła najwydatniejsze rezultaty. W miarę zbliżających się doniosłych w następstwie wypadków, praca samokształceniowa zamieniła się na ćwiczenia wojskowe i młodzież wiejska dała około 30.000

ierza, zasilającą pierwsze kadry armii polskiej. Dziś Związki to już na silnych podstawach oparta organizacja, pozostająca pod opieką Centr. Związku kółek rolniczych, posiadająca własnych instruktorów objazdowych, osobny wydział dla teatrów włościańskich. Zawsze jednak chlubą jej pozostanie samodzielność inicjatywy, żywy współdział w ruchu, który zbudził się w Polsce w tej chwili wyrocznej, która jej losy rozstrzygnąć miała. Wykuwa też sama swoją dolę młodzież robotnicza, zorganizowana w Stow. „Siła” na Śląsku Cieszyńskim. Jest to związek sportowy i oświatowy, o wysokim poziomie kulturalnym. Wydawany przezeń tygodnik „Oświata” odzwierciadla cały szeroki zakres działalności, zwróconej, ze szczególnym natężeniem, w stronę tej części ludności robotniczej, którą układy polityczne oddały w moc Czecho-Słowacji. „Siła” posiada już takie kulturalne urządzenia o jakich nasi robotnicy fabryczni w b. Królestwie jeszcze marzyć nie mogą, w postaci domów ludowych, sali odczytowych, zespołów choralnych i orkiestrowych i t. p. Prowadzi bardzo wydatnie dział sportowy i turystyczny, połączony z badaniem przyrody i obyczajów ludowych, zbieraniem pieśni i dzieł samorodnej sztuki. Młodzież robotnicza samodzielnie urządza też odczyty i wieczory dyskusyjne, nie zaniebując tematów filozoficznych i literackich, do których zgłębienia dochodzi drogą samokształcenia.

Odezwa jej do kolegów i koleżanek zgrupowanych w „Sile” zawiera te słowa: „Ciężkim i twardym jest los robotnika. Koło życia chwyta zębami każdy poryw, każdą myśl w chwili swobodnej zrodzoną i druzgocze ją. Dusza się wyjaławia, marnieje. A jednak młodzież wytworzyć w sobie musi wszystko, co krwi serdecznej czy-

nom jutrzejszym dostarczy. Człowiek i jego wola decydować będą o przyszłości. Wyzwolenie wlec człowieka, postawienie na szczycie społecznym pracy, zniesienie przewagi maszyny nad pracownikiem, oto nasze hasła”.

Czyż wobec tego mogą mieć jakąś nieodwołalną moc rozstrzygającą układy dyplomatyczne, które ostatnio, jak w handlu zamiennym, rozporządziły żywym towarem ludzkim, na obu Śląskach?

I. W. Kosmowska.

STOSUNKI PÓLSKO-UKRAIŃSKIE.

„Ukraińska Trybuna”, omawiając stosunki polsko-ukraińskie w artykule p. t. „My a Polska” (Nr. 10 z dnia 13 stycznia) pisze:

„Dwa lata temu nasza sprawa państwowa znalazła się w sytuacji nadzwyczaj ciężkiej, prawie beznadziejnej i rząd zgodnie ze zorganizowaną częścią społeczeństwa, wszedł na drogę, jaką w tych ciężkich warunkach wydawała się jedynie prowadzącą do celu. 22 kwietnia 1920 roku została podpisana umowa z Polską, właściwie z temi czynnikami nowego państwa, które zajęły najbardziej życzliwe stanowisko wobec naszych dążeń państwowych, a w danym momencie wydawały się najbardziej mocnymi i żywotnymi.

Dalszy bieg wypadków nie usprawiedliwił naszych nadziei i planów. Ster polskiej polityki znalazł się w ręku endeckiej reakcji, a przyjazne nam siły zostały odsunięte na drugi plan i w tem tkwi rdzeń tych komplikacji, jakie obecnie przechodzimy.

Nasze nadzieje i przewidywania nie ziściły się... Trzeba stwierdzić fakt, że polityczna kombinacja, która w pewnych warunkach była najmniej niebezpieczną dla naszej sprawy narodowo-państwowej nie wytrzymała próby historii.

To mówi pismo ukraińskie, będące organem polonofilskiego kierunku wśród ukraińców, zwolenników ugody polsko-ukraińskiej i zwalczane dla tej przyczyny przez inne odłamy emigracji ukraińskiej.

Jeżeli „Ukraińska Trybuna” w Warszawie traci wiarę w możliwość polsko-ukraińskiego porozumienia w obecnych warunkach to oczywiście nie ma wśród ukraińców w tej chwili, już zwolenników takiej ugody, nie bowiem innej „trybuny” z której dało by się słyszeć słowo ukraińskie nawołujące do zgody z polakami.

P. Jan Kucharzewski pisał w lecie zeszłego roku na łamach „Tygodnia”, że potrafilibyśmy zrazić przeciwko sobie wszystkich prawie sąsiadów w tej liczbie i rosjan i ukraińców. Wówczas jednakże mieliśmy usposobione życzliwie wobec nas grupy rosjan i ukraińców. Grupę rosjan przyjaciół wyrzuciliśmy z Polski, sympatię ukraińskich przyjaciół tracimy, jak widać ostatecznie.

Co zniechęciło tak ukraińców do nas.

„Trybuna ukraińska” niejednokrotnie o tem pisała: jest to polityka nietolerancyjna, uprawiana na kresach przez władze miejscowe i zrażająca ludność kresową do Państwa Polskiego, najwięcej zaś sprawa Galicji Wschodniej.

LITERATURA I SZTUKA.

ZMIERZCH IMPRESJONIZMU.

Najtypowszem zjawiskiem zaniku ducha w malarstwie był impresjonizm, posuwający się tak daleko, iż wykluczył z swych obrazów nie tylko temat i kompozycję, ale jedynie kolor i podpatrywanie najtajniejszych neglizmów przyrody uważał za wytyczną i jedyną konieczność sztuki.

Pamiętne zdanie St. Witkiewicza, wygłoszone z okazji „Grunwaldu” Matejki, stało się zasadą impresjonizmu, który anektował sobie prawa do wydoskonalenia formy malarskiej, wistocie zaś był jej burzycielem i niszczyicielem.

Stanisławski, Wyczółkowski, Pankiewicz, czy wreszcie cała plejada artystów zgrupowanych w „Sztuce” okazali się najbardziej jednostronnymi artystami, a chociaż odkopali dla malarstwa polskiego nieznane dotąd skarby kolorów, to jednak zniszczyli doszczętnie kompozycję i wszelki sens konstrukcyjny, odbierając równocześnie sztukom plastycznym siłę wielkich wcieleń i ekstaz, które zastąpiono materialistycznym poglądem na życie i jego zjawiska.

Podpatrywanie i wierne reprodukowanie zjawisk kolorowych i świetlnych wysunęło jako jedyny cel malarstwa, doprowadzając w rezultacie do fragmentaryzmu i zastępując obrazy szkicami i notatkami *à la minute*.

Najsmutniejszą stroną impresjonizmu polskiego było niewolnicze uzależnienie się od Francji, która stała się nie tylko Mekką tęsknot polskiego artysty, ale absolutną rozkazodawczynią w dziedzinie piękna.

A jak dalece posłusznym wykonawcą francuskiej woli artystycznej stało się polskie malarstwo, dowodzi polska wystawa z r. 1921 w Paryżu, której jednogłośnie przyznano nad Sekwaną wielkie zalety naśladowcze a mało zmysłu oryginalności i odrębnego swoistego wyrazu, którym odznacza się twórczość plastyczna zarówno włoska, hiszpańska, skandynawska czy rosyjska.

Wystawa urządzona w Paryżu, prócz znaczenia politycznego, miała doniosłe znaczenie dla rozwoju sztuki polskiej, znaczenie pedagogiczne i jedyne w swoim rodzaju. Pierwszy bowiem raz, w sposób bolesny, ale niezawodny, przeprowadzono operację na polskiej umysłowości, a zabiegu leczniczego dokonali ci, którym powierzono z bezwzględna ufnością, że system przez nich doradzany prowadzi do wiecznego zdrowia i szczęśliwości.

Lekcja udzielona przez krytykę paryską polskiemu malarstwu zbiega się z usiłowaniami najmłodszego pokolenia, które niemal w przededniu tej nauki doszło do przekonania, iż mamy wprawdzie wielu artystów, ale brak nam *polskiej* sztuki.

Każda niemal wystawa, każdy salon wiosenny, czy zimowy, krakowski czy warszawski, poświęca niezłomnie, iż stać nas na niewątpliwe talenty, na wysoki poziom wymagań artystycznych, ale w sumie nie zdobyliśmy się na własne słowo.

I ten brak odrębnego tonu przebiega na obe-

cnej wystawie w sposób jeszcze dosadniejszy, niż kiedy indziej, bo dzięki przypadkowi Salon Zachęty zapelnili dzieła malarskie, które śmiało wyobrażać mogły skalę upodobań powojennej Warszawy.

Po wszystkie czasy ciężka była służba nowatorów. Ci sami, dzisiaj już zwycięzcy impresjonistów, przechodzili w tej samej Warszawie Golgotę udręczeń, zanim wychowali pokolenie nawykłe do patrzenia ich oczami. Walka o nowe wartości w sztuce była nawet dla impresjonistów znacznie trudniejszą, niż dla dzisiejszych reformatorów, którzy mają przed sobą tłum zdezerjentowany, ale chętny dla nowinek. Wprawdzie ten wzbogacony „ochłós” z równą pasją i niezrozumieniem oglądać będzie obrazy Stryjeńskiej, lub Borowskiego czy jakiegos „z nożem w bzu”chu”, tańczącego Pim-pam-bama, wprawdzie bliższe będą jego wyobrażeniom buduarowe krajobrazy Galka, niż zdobywcze usiłowania Skoczylasa lub Zaka, ale nie odważa się zareagować na najdzikszą swawolę artystyczną w poczuciu swej naiwnej bezradności wobec dzieła sztuki.

W atmosferze zupełnego bezkrytycyzmu udawać się więc mogą figle i harce kosztem obojętności dla rzetelnych wysiłków i odważnych talentów.

A odwagę trzeba nazwać i bohaterstwem zerwanie pewnego dnia wszelkich węzłów, łączących malarstwo polskie z sztuką Zachodu i Wschodu i całej dotychczasowej tradycji przeciwstawić swój własny, niezależny program, być może niedoskonały jeszcze w szczegółach, ale najszcześniejszy w założeniu.

Taki program wysunęła dwójka malarska: Wł. Skoczylas i Zofja Stryjeńska.

Program prymitywizmu polskiego jest następstwem wirtuozostwa impresjonistów, którzy po zrealizowaniu swych idei koloru stanęli w martwym punkcie, zarzucając malarstwo polskie dziełami o niebywalej dotychczas sprawności technicznej, ale nie mniejszej martwocie. Obrazy, które wychodzą obecnie z pracowni Axentowicza, Weissa czy Filipkiewicza, przeczą istnieniu jakiegokolwiek intelektu w sztuce, drwią z wszelkiej uczuciowości, temperatura ich powstawania spadła poniżej zera. Obrazy te tworzone na zimno, z mechaniczną obojętnością, powtarzające raz poraz te same tematy, są przykładem dekadencji i zamierania.

W drugim pokoleniu skończył się impresjonizm zarówno w Francji, jak i w Polsce.

A kiedy artyści Zachodniej Europy podążyli na egzotyczne wyprawy po nowe ziarno na zasiew, okrywając dziwowiska wyspy Ife, rzeźby kameruńskiej, hinduskich kolorowości, Skoczylas i Stryjeńska zwrócili uwagę na nieporównanie bliższe nam i bogatsze piękno sztuki ludowej i polskiego prymitywu.

Tak dziwnymi chadza polska dusza drogami, iż odkrycie to jednogłośnie przyjęła krytyka okrzykiem: i zdrada!

Zdrada dawnej tradycji — dawnego niewolnictwa, dawnej niesamodzielności — polskość w sztuce to bunt przeciw zdrowemu rozsądkowi, przeciwpaństwowy czyn bolszewicki, który niszczy porządek rzeczy i związać pragnie przyszłość z chamstwem ludowego tworzenia.

A jednak, gdy się chce mówić o sztuce zapładniającej dzień jutrzejszy, jeśli z chaosu obrazów rozwieszonych w Salonie warszawskim narodzić się ma przyszły wyraz duszy polskiej — niepodobna oprzeć się wierze, że L. Stryjeńskiej „Pan Twardowski” czy „Łowy bogów” A. Skoczylasa cykle graficzne i legendy podhalańskie są najcenniejszym wyrazem dążeń artystycznych młodego pokolenia.

A jeśli się dołączy do tych odkryć śmiałą i zdecydowaną wolę „rytmistów” Żaka i Borowskiego, którzy świadomie zmierzają po linii stylowości, kompozycji i harmonii kształtów, mówić można o zmięczeniu impresjonizmu, z którego wyłania się coraz wyraźniej nowa forma sztuki polskiej.

Witold Bunikiewicz.

PASKARZ-MĘCZENNIK.

(Z BAJEK POWOJENNYCH).

Wróg hrabi Ugolino della Gherardesca
Na śmierć głodową skazał go z potomstwem młodem,
I zmarli w lochu wieży, umorzeni głodem,
Po okropnych męczarniach, schudzeni jak deska.
Pewien paskarz, nie hrabia, choć też „nobel” rodem,
Czytając te u Danta najstraszliwsze dzieje,
Postanowił doświadczyć, co to za groteska
Umierać z głodu, tracąc na befszytk nadzieję.
Dictum factum. Zamyka się wraz z czworgiem dzieciak
(Zbyszko, Przemysław, Moryc, Róża i Tereska),
Zerwał drut telefonu — niech się co chce dzieje —
Kucharce zapowiedział nie brać mięsa z jatek,
Lecz obiad urzędowy (żurek, siekanina),
I zamknął drzwi... Trzeciego dnia rzekł: — Ładny
kwiatek!

Dzieci mi schną, mnie z funtów pięć ubyło tuszy...
Znam już piekło dantejskie tego Ugolina...
Otwierać tam! Hej, służba! Dosoć tej katuszy.
Stanisławie, każ zrobić po nelsonsku lina.
Morał: gdy człowiekowi brzuch się rozwańtuszy
Tak, że weń wiktuałów cała fura wlezie,
Miło wtedy ją czytać, trudno żyć w ascezie.

Jan Lemański.

HAMLET PADEWSKI¹⁾.

Młodzieńczy dramat Oskara Wilde'a.

Wszystkie bohaterki dramatów Wilde'a (częściowy i celowy wyjątek stanowi Blanka w „Tragedji florenckiej”) cechują wspólne fundamentalne rysy psychiczne, które poeta angielski uważa za charakterystyczne dla każdej typowej kochanki. Wszystkie

one są namiętne, bezwzględne i proste w swem dążeniu miłosnem, oddane wyłącznie i całkowicie sprawie swego serca, śmiałe aż do zbrodni w zwalczaniu przeszkód, stojących na drodze wcieleniu w życie ich potężnego uczucia — czy przeszkody te idą od świata, przyrodzonego wroga wielkiej miłości, czy tkwią w charakterze wybranego mężczyzny. Opór jego znieważa bóstwo, którego są kapłankami; nie idzie im o „ukochanego”, lecz o samą miłość: dlatego, gotowe na wszelką ofiarę, gdy odpłaca im wzajemnością, stają się w jednej chwili miściwem narzędziem najokrutniejszego odwetu, gdy mężczyzna z jakichkolwiek pobudek odpycha je. Takimi są prawdziwe kochanki, wraz Ogień i Łód, jak mówią o sobie bohaterki dramatu hiszpańskiego. Niema dla nich idei, przed którą skłoniłyby głowę ich miłosne pretensje. A jeśli taki fakt się zdarzy („Święta kurtyzana”), to i wtedy kobieta potrafi zemścić się na tym, który nie przyjął od razu jej darów, przelewając w jego żyły ogień pożądania, z jej woli teraz nienasyconego (pustelnik Honorjusz). Jest godne uwagi, że Wilde nigdy nie buduje konfliktu dramatycznego między mężczyzną a kobietą na najpospolitszym tle „trójkątu”. Jedyny wyjątek, „Tragedja florencka”, nie jest dramatem, lecz tylko tragiczną groteską: twórca „Salome” nie wierzy w możliwość potężnego dramatu miłosnego między lekkomyślnym Don Juanem a klasycznymi przedstawicielami duszy mieszczańskiej.

Okrutne zakończenie *miłosnej przygody* księcia Bardi jest wynikiem jego niezręczności w taktyce i nieznajomości terenu ostatniego swego *exploit*.

Najgłębszy dramat obywatela się bez banalnego motywu „tych trzech”: powstaje on fatalnie między dwójgim ludzi, gdy naprzeciw idei miłości, reprezentowanej przez kobietę, staje jakaś idea moralna, wyznawana przez mężczyznę (Bóg, ojczyzna, honor, sprawiedliwość, twórczość i t. d.). Wilde, jak każdy istotny znawca duszy ludzkiej, nie wierzy w ideały moralne, więc altruistyczne, w miłość, która jest uczuciem *and und für sich*, najjaśnawszym wcieleniem egoizmu, cokolwiekby wmawiali w małe i duże dzieci ideologowie romantyzmu i dydaktycy chrześcijańscy. Nie może być mowy o moralności powszechnej w miłości: ze stanowiska społecznego jest miłość zjawiskiem niemoralnem, ze stanowiska filozofii — amoralnem. Może być tylko mowa o specjalnej moralności miłosnej, która jest jedynym prawem, uznawanem przez typową kochankę. Prawdziwy mężczyzna tej moralności albo nie zna, albo uznać nie chce, jako niedającej się pogodzić z moralnością powszechną. Dlatego, gdy trafi na kobietę, stworzoną do potężnej, bezwzględnej miłości, wywiązuje się walka, kończąca się zawsze tragicznie.

Mając lat dwadzieścia kilka, dał Wilde obraz takiej walki w „Księżnie Padewskiej” (*The Duchess of Padua*¹⁾).

Tutaj kochanek ma do spełnienia hamletowską misję pomśzczenia śmierci ojca: z ręki syna księcia Parmy ma zginąć nikczemny książę Padwy. Odważemiane uczucie do młodej pięknej Beatryczy, żony ojcowego zabójcy, krzyżuje jego zamiary w sposób, wskazujący dobitnie, że jest to *młodzieńcze opus*

¹⁾ Fragment studjum pt. „O miłości w dramatach Oskara Wilde'a”, które za parę tygodni ukaże się na półkach księgarskich.

(Przyp. Red.).

¹⁾ Pięcioaktowy ten dramat nie wyszedł w druku za życia autora. Grany był z rękopisu w r. 1891 w New-Yorku, w Hammerstein's Opera House. Wydał go po raz pierwszy Robert Ross w edycji pism Wilde'a, w r. 1908 (Methuen and Co. London).

(Przyp. aut.).

przyszłego autora „Salome”. „Przemieniony w anioła” miłością do kobiety, szlachetny, lecz *życiowo nie-dojrzały* Gwido Ferranti rzeka się swej vendetty: mord skrytobójczy, przelana krew splamiłaby jego duszę, sprofanowała czystość uczucia do Beatrycze; lecz, nie wypełniwszy obowiązku miłości synowskiej (rzecz dzieje się we Włoszech, w wieku XVI-ym), nie czuje się godnym osobistego szczęścia; postanawia więc opuścić nazawsze Padwę i ukochaną, motywując konieczność rozstania istnieniem między niemi (zwykłym szukaniu) „przeszkody”, której ujawnić nie może.

Zrozpaczona Beatrycze chce sobie w sypialni małżeńskej odebrać życie, gdy naraz, wpatrując się w śpiącego obok, nienawistnego jej małżonka, pojmując po swojemu, *po kobiecemu* przeszkodę, o której mówił młodzieniec. W nagłym porywie do wolności pragnień serca usuwa tę przeszkodę sztyletem, dla siebie przygotowanym. Za progiem sypialni spotyka Gwida, który przed wyjazdem (naiwny pomysł młodego autora) chce sztylet rodzinny położyć obok śpiącego, wraz z listem, wyjaśniającym, kto się ukrywał pod maską dworzanina Gwida Ferranti, i że, mając możność pomsty, przebacza mu zdradzieckie wydanie ojca w ręce wrogów. Zakochana kobieta widzi teraz drogę do szczęścia otwartą: jeszcze noc, zdążą uciec, nim zbrodnia się ujawni. Lecz oto zagradza jej tę drogę przeszkoda niespodziewana i *niepojęta*: Gwido odpycha ją!

On, człowiek honoru, nie chciał skrytobójstwem pokalać ich miłości — teraz ona to uczyniła. Nie mąż, lecz zbrodnia, którą miał spełnić, była ową *przeszkodą* między niemi. Beatrycze wybucha:

„Boże, jak mogłam pokochać takiego człowieka! Walczy w niej miłość z pogardą i osłupieniem: zwycięża miłość. Skoro tak surowo sądzi przelanie krwi, niech ją sam tu zaraz śmiercią ukarze, lecz niech jej nie odpycha. Gwido nie może wyjść z podziwu, że dla owładniętej namiętnością kobiety cel uświęca środki; oburzony, moralizuje, gdy morderczyni w rozpacz zaklina jego srogosć: przecie to dla ciebie, dla ciebie uczyniłam! Wyrzuca mu, że zmącił jej serce, pchnął na drogę zbrodni. Wreszcie, gdy Gwido, w swem młodzieńczem zaciętrzewieniu rani okrutnie kobietę, zapytując w naiwnem zdumieniu: nie widzisz tego, że zabijając swego pana (*your lord*), zabiłaś i naszą miłość? — nieszczęsna kochanka z bolesną ironją odpowiada, co *ona* widzi:

„Widzę: mężczyzna gdy kocha kobietę,
Daje jej ledwie część swego życia —
Lecz my, kochając, oddajemy wszystko.
Widzę to teraz”.

W tych słowach kryje się motto całego utworu. Czyż nie jest to najistotniejszy motyw tysiącznych kolicji miłosnych dwojga ludzi zawsze i wszędzie?.. Mimo akademicki charakter „Księżny Padewskiej” takie genialne błyski intuicji młodego poety zapowiadają jednego z najprzenikliwszych nurków w głębinach odwiecznego zatargu między mężczyzną a kobietą.

Lecz bolesne wyznanie Beatryczy to nie wrota do rezygnacji. Niezdolna przejednać okrutnego sędzi-kochanka, odchodzi zwolna, rzucając ostatnie spojrzenie-bolesć, lecz i spojrzenie-sygnał, ostatni przed... atakiem. Kochanek pozwolił, że wzrok jej spotkał... *próżnię*. Wydał na siebie wyrok. Zrywa się wpraw-

dzie w zaślepieniu po jej odejściu świadomość, że ją skrzywdził, a może i instynkt samozachowawczy, w przecuciu, iż zdeptana kochanka mścić się teraz będzie:

„Okrutny byłem dla niej: Beatrycze!
Mówię ci, wróć się!”

Zapóźno. Młodzieniec z rodu Hamletów zwykle się spóźnia. Zapóźno, bo gdy w miłości kobiety namiętej Anioł zostanie spoliczkowany, Szatan zaczyna się wnet śmiać. I działać. Wraz z ranioną w samo serce Beatrycza zniknęło za tragiczną kotarą anielskie oblicze Miłości. Ukazało się szatańskie, jak noc po dniu w gorącej strefie: bez szarej godziny. Księżna Padwy, przestąpiwszy próg sypialni, wszczyna alarm, nadbiegłej straży wskazuje rzekomego mordercę księcia i krwawy sztylet na podłodze. To wystarczy sądowi. Zamiast splotu kochających ramion, miłość przyniesie mu miecz katowski w darze.

W sali sądowej księżna roztacza całe swe nieublagane okrucieństwo w stosunku do oskarżonego, wzbudzającego sympatię sędziów i ludu; wszelkimi sposobami usiłuje nie dopuścić do tego, by udzielono obwinionemu prawa głosu; zachowuje się, jak oslepla w furji zemsty kobieta: rwie księgę praw, chce opuścić salę sądową, odroczyć rozprawę, wprawia w podziw swą zajadłość sąd i kardynał — gdy ów wspomina o monarszym przywileju łaski. Lecz prawo bierze w kluby jej rozpasanie: niewolno księżnej opuścić trybunał przed ogłoszeniem wyroku, choćby nawet miano użyć względem niej siły. Pokonana, zostaje; teraz nie wątpi, że zemsta przeciw niej samej się zwróci. I tak się staje, tylko inaczej niż myślała. Gwido, dopuszczony wreszcie do głosu, wyznaje, kim jest, w jakim celu wstąpił na dwór księcia Padwy i kończy... przyznaniem się do zamordowania zabójcy ojca! Szatan w Beatryczy zapadł się pod ziemię na widok takiej szlachetności mężczyzny. Z imieniem kochanka na ustach mdleje, gdy straż wyprowadza skazańca. Okrutna zemsta obróciła się przeciw jej sercu. Do ciemnicy, gdzie Gwido oczekuje kata tejże nocy, o co prosił sąd, przybywa zamaskowana. Wysokiego urodzenia skazańcowi posłano do celi truciznę: jeśli chce, może uniknąć śmierci haniebnej, pod toporem. Lecz Beatrycze, odzyskawszy piękno swej duszy, pragnie teraz wyrwać umiłowanego z rąk śmierci, choćby za cenę swego młodego życia. Tem lepiej: stanie, oczyszczona z winy, przed Sędzią Najwyższym. Niech ucieka, przebrany w jej suknie — jeszcze pora. Skazaniec śpi spokojnie, nie wie, jakiego ma gościa. Budzi go stuk kubka z trucizną, wychylonego przez kochankę. Następuje idealny, przedśmiertny pojedynek miłosny tych dwojga, wzniosła licytacja poświęcenia i przebaczenia. Wszystko wzajemnie odpuszczone i zapomniane. „Nie grzeszą zgoła ci, co grzeszą z miłości” mówi Gwido. Teraz pozostała w nich sama miłość. Wyrwywają im się umęczone serca do wolności i szczęścia, tak drogo kupionego. Zapóźno. Trucizna obezwładnia ciało Beatryczy, a po jego życie idą już — wybiła godzina — wykonawcy prawa „krew za krew”. Niepotrzebnie. Zastają dwa trupy: w krzesło spoczywa martwa księżna Padwy, a u stóp jej, w fałdach czarnej szaty ukryta twarz syna księcia Parmy, przebitego znalezionym przy konającej kochance sztyletem.

Przed szponami ludzkiej sprawiedliwości broni tych, co się „zbyt miłowali”, Anioł Śmierci.

Lecz większe od jego czarnych skrzydeł, białe, o gwiazdy oparte skrzydła roztacza nad niemi potężniejszy Anioł Miłości.

Kiedys Oskar Wilde zamknie swe dzieło dramatyczne myślą, okrutną w swej beznadziejności: „zabija każdy to, co kocha” powie jeden z najgłębszych piewców miłości, biorąc ostatni akord na swej lirze w tragicznej „Balladzie więzienia w Reading”. Tego pesymistycznego okrzyku złamanej cierpieniem duszy poety nie łagodzi już żadna pociecha, żadna nadzieja. Lecz ongi, gdy do przyszłego „Króla Życia” uśmiechało się ono ponętami Rajskiego Ogrodu — krzepiąca myśl twórcy „Pieśni nad Pieśniami” o wszechpotędze Miłości objęła kojącem światłem głowy dwójga padewskich kochanków, w obliczu śmierci łączących usta pragnące ostatnim tchnieniem — poculunkiem, który znaczył:

Śmierć nad Miłością władzy nie ma.

Wacław Rogowicz.

ZYGMUNT SARNECKI.

W norwidowe idąc ślady, w przytułku dla najbiedniejszych spędził ostatnie miesiące swego życia i zmarł w nim Zygmunt Sarnecki. Miał lat 85. Dla współczesnych był jnż niemal legendą. Zrazu bujny a później niezmiernie pracowity, wypełniony całkowicie literaturą i sztuką żywot jego nie zawierał niestety, tych wybitnych momentów twórczych, które narzucają się na dłuższy czas społeczeństwu i zapewniają pamięć współczesnych i potomnych. Sarnecki rozwijał w sobie nieustannie wyteżoną kulturę literacką, którą w nim pogłębił dłuższy pobyt zagranicą, a zwłaszcza we Francji. Drogi swej szukał wciąż uparcie, przechodząc kolejno różne formy pracy literackiej i artystycznej: publicysta, krytyk, powieściopisarz, dyrektor teatru (w Lublinie i Poznaniu), twórca dramatów i komedji, historyk literatury, redaktor, tłumacz, estetyk. Twórczość literacką zaczął od teatru i próbował w nim szeregu komedji „Zemsta pani hrabiny” (1869), „Febris aurea” (1869), „Kalecy” i „Bezinteresowni” (1872), „Dworacy niedoli” (1876), „Uroczę oczy” (1893), „Szkłana góra” (1896), „Harde dusze”, (1895), „Cud-dziewica” (1897), „Adam i Maryla” (1898), „Evviva l'arte” (1880) i „Złocienie” (1893). Z utworów tych jedynie „Harde dusze” osnute na temacie z powieści Orzeszkowej, oraz „Szkłana góra” (baśń fantastyczna) zdobyły mocniejszy oddźwięk; wszystkie inne utonęły w zapomnieniu, co się zazwyczaj dzieje z całą naszą „bieżącą” twórczością dramatyczną. Nie ocaliły ich ani świetne niekiedy dialogi, ani subtelnie obmyślane sytuacje, ani zręczna dyalektyka społeczna autora.

Większe powodzenie zdobyły opowiadania Sarneckiego i nowele („Różni ludzie” (1883), „Owale i profile” (1884). Nowele (1888) i powieści „Złote serce” (1885), „Na ruinach” (1890). Nie zabłysnął w nich Sarnecki fantazją poetycką, ale utrzymał w dobrym smaku realistyczny wątek narracji.

Długi szereg swych rozpraw i studiów zakończył Sarnecki obszerną „Historją literatury

francuskiej”, która może nie stwierdza samodzielnych badań przedmiotu, ale jest dobrem świadectwem wysokiej kultury autora i jego znajomości ruchu umysłowego Francji.

Szczytem działalności artystycznej Sarneckiego był wydawany przez niego przez sześć lat (1888 — 1894) krakowski „Świat”. W epoce, gdy „Wędrowce”, „Klosy” i „Tygodniki ilustrowane” uchodziły za ostatni wyraz pism obrazkowych, zdołał Sarnecki stworzyć wspaniałą dwutygodnik, który skupił w sobie najwybitniejsze talenty malarskie i literackie w Polsce i rozwijał smak społeczeństwa zarówno wykonaniem całej strony zdobniczej wydawnictwa, jak doborem poezji, rozpraw estetycznych i literackich „młodych” i starszych pisarzy. „Świat” w historii naszych czasopism ilustrowanych ma kartę wyjątkową, która jeszcze napisaną nie została.

Sarnecki z zaletami swego wytwornego umysłu łączył piękną kulturę towarzyską. Do końca życia nie przestał być dżentelmenem w każdym calu, jednając sobie szczerych przyjaciół wśród najwybitniejszych ludzi w Polsce.

J.

KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

✱ Michał Asanka-Japołt. „Gdzież nasze słonco”. (Warszawa—Kraków. Nakładem księgarni J. Czerneckiego). Nieco zawodnych obietnic poetyckich na temat: „Zbuduję wam cudne pałace kryształne”; nieco patriotycznych westchnień pod hasłem: „bądźmy narodem, by jednej rodziny”; nieco banalnych wędrowek po Włoszech; kilka zachrypniętych zlekka piosenek miłosnych; potem słodka radość „ach, moja żona tam dziecko kołysze”; dalej — szereg dość jasnych i barwnych krajobrazów; kilka zadum nieszkodliwych a polotu poetyckiego pozbawionych; wreszcie — pełne optymizmu rozmyślanie „de vita sua”, w którym pomieszczono życzenie: „niech płyną, od brzegu do brzegu tej Polski — moje słowa pieśni”... Wszystko pisane już dawno, dawno, pomimo świeżych dat, wszystko czytane już dawno, dawno... Zamykamy zbiorek tych rymów ze smutkiem, że są jeszcze ludzie, którzy sądzą, iż wystarczy mieć prawną duszę, aby być poetą.

✱ Ignacy Nikorowicz. „Krwia i łzami”. Powieść z zarania nowego szczęścia ojczyzny. (Nakładem Biblioteki „Emigranta polskiego”. 1922). — Rzadki gość w Warszawie: książka przeznaczona dla Polaków w Ameryce. Autor i wydawcy poświęcają ją „emigracji polskiej w Ameryce, żelaznej awangardzie Polski, za jej bohaterskie czyny w obronie wolności Ojczyzny, za jej hojną, ofiarną pomoc dla ulżenia niedoli braci w kraju — w głębokim hołdzie”. Bez tej uroczystej dedykacji książka zbijałaby nieco z tropu czytelnika, przyzwyczajonego do naszych metod opowiadania. Naiwność wątku powieściowego połączona z cikliwym nieco liryzmem jest prawdopodobnie umyślna, autor bowiem komedji „W gołębniku” posiada dość kultury literackiej, aby się zdobyć na opowieść mocniej skonstruowaną. Mamy tu melodramatyczną historyjkę o tem, jak to chłop-emigrant, Pług, dowiedziawszy się, że jego ukochana żona, utonęła, uciekając przed pożarem lasów, wśród których mieszkała, — wstępuje do wojska i bije się walecznie we Francji. Całość opowiadania owiana

zacną, promykową tendencją, wyrażoną w zakończeniu słowami: „baczcie, aby nie utracić tego, co zdobyte! baczcie i pracujcie, na miłość Boską pracujcie!”

O naszej literaturze amerykańskiej nic nie wiemy. Może odrodzona Polska znajdzie sposób takiego zorganizowania czasopism, abyśmy zdołali porozumiewać się bliżej z milionami rodaków z za Oceanu.

W grudniowym zeszycie paryskiego miesięcznika „Le monde nouveau” (wychodzącego jednocześnie w języku angielskim p. t. „The new World”) znajdujemy ciekawą rozprawę współpracownika „Tygodnia Polskiego”, p. Edwarda Woronieckiego p. t. „Considérations esthétiques”. Są to oryginalne uwagi o rytmie i dramacie w życiu.

Oskar Wilde. „Zbrodnia lorda Artura Savila” oraz inne nowele. Przekład R. Centnerszwerowej. (Nakładem spółki wyd. „Vita Nuova”. Warszawa. 1922). — Zanim zdobędziemy się na przyswojenie literaturze polskiej całokształtu dzieł Oskara Wilde’a, dobrze jest, gdy od czasu do czasu przybysza jakiś rys do poznania przez wykształcony ogół przedziwnej w swej świetnej różnorodności fizjonomii twórczej wielkiego pisarza. Znajomość jej jest u nas bardzo powierzchowna i niekompletna, aczkolwiek snobizm literacki chętnie popisuje się garścią wyrwanych z komedji Wilde’owskich paradoksów i pamięta skandaliczny finał życiowy bożyszcza high-life’u londyńskiego. Od lat kilkunastu ukazują się po polsku fragmenty jego dzieła literackiego, lecz w rzadkich odstępach czasu i bezplanowo, przytem w przekładach nierównej wartości. Młode wydawnictwo „Vita Nuova” dobrze uczyniło, wypuszczając w świat nowele Wilde’a, najmniej może znane polskiemu czytelnikowi ze wszystkich utworów autora „Salome”; uczyniło dobrze przedewszystkiem dlatego, że podało je w starannym przekładzie. Jest to wraźliwa, poważna i sensacyjna: fabuła zawsze nadzwyczajna, osnuta dokoła jakiegoś zagadnienia z tajników psychy ludzkiej; prostota stylu, czysto narracyjnego, błysnie tu i owdzie jakimś świetnym aforyzmem lub sceptycznym wyłączeniem warg ukrytego pod smokingiem myśliciela. Wilde, twórca nowej estetyki, wyłożonej w słynnych „Intentions” (częściowo przełożonych przed kilkunastu laty p. t. „DIALOGI O SZTUCE”) dał upust swym skłonnościom do estetycznych dociekań w utworze p. t. „Portret pana W. H.”, gdzie zajął się w nowelistycznej formie egzegezą sonetów Szekspira, zagadnieniem, pasjonującym szekspirologów całego świata tak, jak naszych teoretyków literatury sprawa Mickiewiczowskiego „czterdzieści i cztery”.

Nowele Wilde’a, duchem spokrewnione z utworami Edgara Poe, Barbeya d’Aureville, Villiers de l’Isle Adama, będą niewątpliwie chętnie czytane przez jego wielbicieli. Żałować tylko należy, że tłumaczka do czterech nowel zbioru nie dodała i piątej „The Sphinx without a sekret”, najkrótszej z nowel Wilde’a, więc nie obciążającej tomu: mielibyśmy je wszystkie po polsku. Widocznie jednak oszczędność papieru skłoniła wydawcę do ścisłego wyznaczenia objętości książki; ten wzgląd odbija się fatalnie na... oczach czytelnika, któremu kazano lepieć nad stronicami, usianymi maczkiem nonparelu. Inowacja w wydaniu beletrystyki cokolwiek ryzykowna.

WŁADYSŁAW ŻELEŃSKI.

(Z powodu wystawienia „Goplany”).

Gdy pierwszy raz wystawiono Goplanę, publiczność entuzjastycznie przyjęła tę piękną operę. Krytycy wynajdywali rozmaite braki i z niedowierzaniem stosowali się do dzieła polskiego. Władysław Żeleński czuł się przygnębionym po pierwszych próbach twórczych. Nazywano go kompozytorem uczonym, ciężkim. Krytyka, która powinna sumiennie analizować nową myśl oddalała społeczeństwo od kompozytora i jego natchnionego dzieła. Opera nasza na długie lata pożegnała się z „Goplaną”.

Gdy ją teraz wznowiono, publiczność znowu gorąco i entuzjastycznie przyjęła dzieło nie żyjącego już, niestety, kompozytora, a krytyka stwierdza, że warto byłoby poddać kontroli głosy krytyczne z czasów pierwszego przedstawienia „Goplany” we Lwowie, Krakowie i w Warszawie. I rzeczywiście, gdy lekkość, przezroczystość, powiewność muzyki „Goplany” unosi ducha na skrzydłach fantazji w sfery zaświatowe, mimowoli zjawia się pytanie: „gdzie krytyka znalazła ciężką przemądrzałość w tem nad wyraz liryczno-ekstатыcznym utworze”? Jak można było popełnić tak straszny błąd w stosunku do kompozytora, który nie umiał swego ducha wtłoczyć w ramki ogólne i znane, a którego żaden pomysł muzyczny nie został należycie wyzyskany. Jestem przekonana, że gdyby nie płytkość naszej krytyki, Wł. Żeleński tworzyłby jeszcze potężniejsze dzieła i ostatnich swych lat nie zmarnowałby w ustroniu, dokąd się schronił, by od zgiełku, krzyku i faryzeuszostwa być jaknajdalej.

„Goplana” zawiera w sobie pierwiastki romantyzmu niemieckiego, lecz daleką jest ona od tej ciężkiej fantastyczności germańskiej, o której Nietzsche powiedział: „jak ci wszyscy krzykacze teatralni męczą nasze uszy, jak myśmy się stali obcy temu tumultowi romantycznemu, tej wrzaskliwości naszych zmysłów, która podoba się naszej społeczności przemądrzałej. Nie, z chwilą, kiedy wyzdrowiejemy, wzbudzi się w nas pragnienie prawdziwej sztuki, innej sztuki, radosnej, bosko-działającej sztuki, która jak czysty płomień unosi się do nieba bez chmur”.

Muzyka Żeleńskiego w „Goplanie” w połączeniu z potężną fantazją Słowackiego tworzy tak cudowne i lekkie wizje że przez cały ciąg opery słuchacz buja w przestworzach niezmierzonych, żyje w świecie fantastycznych wydarzeń, wchłaniając w siebie urok i czar ekstатыcznego liryzmu.

Czyż może być bardziej lekką, przejrzystą, powiewną, a zarazem głęboko uczuciową arja Goplany na której włosach „uśpione leżą jaskółki”?

Tak powiązane za nóżki, kiedyś w jesienny poranek upadły na dno rzeczulki i rzeczulka rzuciła wianek, wianek czarny, jak hebany na złote włosy Goplany...

A czy nie jest również zaświatową muzyką taneczna rusalki z welonem w drugim obrazie?

Tajemnicza zaświatowość w tonach słodkich i smutnych sływa po tonach pięknego intermezzo przed drugim aktem w tempie „Andante non troppo lento”, które kończy się najdelikatniejszym pianissimo.

A jaka potęga nastroju przejawia się w chwili śmierci Aliny! Zaklęty w wierzbę Grabiec jest świadkiem zbrodni Balladyny i w tragicznych tonach, w głuchym, rozpaczonym jęku „Jezus Marja” przery-

wa ciszę rozlaną w naturze. Muzyka w tem momencie jest pełna dramatyczności — w końcu przechodzi w nastrój pełen smutku i poezji, gdy zjawiają się rusałki, a krążąc w ruchach powiewnych nad smarłą Aliną, rzucają na jej zwłoki białe lilje.

Arja Goplany w II-iej akcie (przemiana Grabea w wierzbę): „wyraźniej korą odziany i liśćmi płaczącymi“ brzmią smętną nutą, którą powtarza klarnet. Ta sama melodia zjawia się w akcie ostatnim warji matki obłąkanej, tylko przyjmuje większy rozmach, głębszą ekspresję, przechodząc w potężny krzyk bólu. W ten sposób łączność drugiego aktu z ostatnim stwarza jakby symbol całego utworu. Śliczny chór kobiecy w III-iej akcie, który tchnie polskością, gdy zjawiają się dziewczyny z kwiatami.

Wstrząsającą jest arja obłąkanej matki w ostatnim akcie „Tragizm sytuacji łączy się z dramatycznością muzyki, a barwna, świeża instrumentacja, nie przeładowana zbyt wielkim hałasem i krzykami dysonansami znakomicie odtwarza nastrój groźny i potęgę, która tkwi w przeznaczeniu człowieka.

Wł. Żeleński napisał jeszcze trzy opery („Konrad Wallenrod“, „Janek“, „Stara baśń“ oraz wiele ładnych pieśni, między którymi na szczególną uwagę zasługują „Dumka“ (w białym sadzie kwitną drzewa) 2) preludjum (Drzemie blask miesiąca) 3) Dumka (Płyną wonie czeremchowe). Wszystkie trzy do słów Z. Ułaszyńskiego.

„Z nocy letnich“ — do słów Konopnickiej.

„Połały się łzy“ i „Słowiczku mój“ — do słów Mickiewicza.

„Cień Chopina“ i „Gdy będziesz moją żoną“ — do słów Tetmajera.

„Marzenia dziewczyny“ „O Jaśku z pod Sącza“ — do słów Maryli Wolskiej.

Cykl 8 pieśni (Złota rybka, Gdy ostatnia róża zwiędła, Zaczarowana królewna, Pieśni Cielandiego, Ballada Klawiga, Ja Tobie serce ślę, Leci piosenka, Ja dzisiaj wieczorem).

Podkreślając zdania jednego z krytyków muzycznych, że twórczość Żeleńskiego trzeba jeszcze raz sumiennie przestudjować, uważam, że warto byłoby poddać ponownej analizie dzieła naszych nowszych kompozytorów polskich, których również niedoceniono, by jeszcze za życia mogli napawać się zasłużoną sławą i aby społeczeństwo miało możność zapoznać się należycie z utworami polskimi w tym czasie, gdy one zostały stworzone.

Ewa Serednicka-Oleszkowska.

LITERATURA I SZTUKA U OBCYCH.

* **Powieści kinematograficzne.** Gdy film kinematograficzny na początku swego istnienia wysuwał się nieśmiało z wytwórnicy na ekran, miał aspiracje wyższe — pragnął dostosować się do poziomu artystyczno-literackiego. Lecz wówczas literatura zawodowa nie chciała poprzeć podejmowanych w tym kierunku wysiłków, uważając sobie za ubliżenie wszelką styczność z nową „gałęzią przemysłu“. Film przyjął niższe stanowisko, jakie mu wskazano i — robił swoje. Udoskonalał się technicznie, czekając cierpliwie; dzisiaj już nie idzie śladem i drogami literatury i sztuki, jak zrazu pragnął, lecz sztuka i li-

teratura dąży za nim torem, jaki stopniowo wyłobił. Film złotodajny zwyciężył.

Powieściopisarze i dramaturgowie najświeższej daty chciwie okiem spoglądają na migocące „pasma“, a niejeden z nich oblicza, na ile kilometrów długości starczy jego utwór. Tytuły rozdziałów powieściowych obmyślane są przez autorów tak, aby przy przeróbce romansu do „kina“ mogły być bez zmiany wraz z danym obrazem wyświetlane. Zamienia się na kinematograf i teatr — najlepsi aktorzy wzdychają do filmu i filmowe ruchy, pozy, spojrzenia przenoszą na scenę. Wedle tej modły urobiła się już i publiczność — szuka filmu w książce, spragniona go jest w teatrze. Książki, nastrojowe spoczywają spokojnie na półkach księgarskich, nastrojowe sztuki grywane są najczęściej przed pustymi krzesłami.

A oto, na poparcie tych słów, krótkie streszczenie kilku najnowszych powieści niemieckich:

1) **Helmuth Ungcr. „Moreills Milliarden“.** Jesteśmy w epoce spełnionych wszystkich najzuchwalszych nawet marzeń. Człowiek jeździ błyskawiczną „limousine“ą napowietrzną, ma w kieszonce od kamizelki iskrowy telefonik i goli się brzytwą elektryczną bez mydła. Morell jest wynalazcą pieców „Helios“, które latem gromadzą energię słońca, a zimą ogrzewają nią mieszkania i dostarczają jej zakładom przemysłowym jako motoru do maszyn, albowiem wszechświatowe pokłady węgla są już na wyczerpaniu, zaś lodowce zaczynają wędrować do dolin. Powieść napisana jest humorystycznie i trzyma ciekawość czytelnika w naprężeniu. Autor nie ujawnia pretensji do wartości literackiej swego utworu, pragnie tylko dać czytelnikom rozrywkę.

2) **Paweł G. Ehrhardt. „Die letzte Macht“.** Fale elektryczne posiadają moc zapalną na największe odległości, broń przeciw militarystom i wojnie w ręku wynalazcy i apostoła socjalnego, Hohwarta — co za efektowny temat filmowy! Wszystko jest wszakże naukowo uzasadnione — na pozór przynajmniej. Czytelnik mimowoli przypomina sobie czytane w młodości powieści Juliusza Verne'a. P. Ehrhardt jest jednakże o tyle poetą, że wplata w akcję książki „pierzastek wzruszający, czysto ludzki, który faktom nieubłaganym odejmuje ich okrucieństwo“. Brak wszakże książce tego, co czytelnikowi dech w piersi tamuje — pisana jest tonem nieco profesorskim. Ale, kilka przeróbek i — film gotów!

3) **Paweł Frank. „Der tönerne Gott“.** Postępy i zdobycze w dziedzinie techniki odzwierciedlają się szybko w literaturze; zauważy to niewątpliwie każdy obserwujący czytelnik. W powieści Henryka Manna p. t. „Im Schlaraffenland“, która ukazała się jakie piętnaście lat temu, pani Türkheimer jedzie poprostu dorożką na schadzkę z kochankiem. Samochodów niema, telefon jest zaledwie w użyciu. W dziesięć lat później samochód jest już najwzkiejszym środkiem lokomocji dla każdej „maszynistki“, udającej się na schadzkę. W najnowszej powieści Farrère'a p. t. „Les condamnés à mort“ córka gubernatora podąża do kochanka w samolocie, którym sama kieruje, — wyrusza z dachu swojej willi. Jak przyjemnie pomyśleć, że ukochana zapuka do okna (choćby na najwyższym piętrze) i zawoła: „Proszę cię, otwórz!“

Frank wszakże wziął rekord. U niego kochanka zjawia się poprostu, skoro tylko kochanek gorąco jej pożąda. I nie tylko kochanka, ale każda kobieta,

którą mężczyzna chce mieć. Złatwia to bóstwo induskie — wystarczy szepnąć mu imię upragnionej, a oto już wchodzi po niedługiej chwili czekania. Raz jeden wszakże bohater pragnie być pokochany przez kobietę z jej własnej woli, bez nakazu i przymusu, a ta zachcianka śmierć mu przynosi; oczywiście za sprawą bóstwa induskiego. Z Azją — modną dziś częścią świata — pakuje też *Egmont Colerus* i operuje cudami techniki w swoim romansie fantastycznym p. t. „*Der dritte Weg*”. Książkę Franka można, przy dobrej wierze czytelnika, zaliczyć do beletrystyki. P. Colerus przystraja się w filozofję, która często bywa więcej dźwiękiem słowa niż głębią myśli. Jego romans p. t. „*Sodoma*”, to Evers w mniej nudnym gatunku — film w kostjumie.

* **Lothrop Stoddard**. „*The new world of Islam*”. Historia przemian, jakie się dokonały w świecie islamu od chwili powstania wielkiego ruchu reformatorskiego, nazwanego wahabizmem. Abdel Wahab zjawiał się na początku w. XVIII-go, w chwili, gdy w islamie zapanowała obojętność, nieuctwo, zabobony i występki. Przybywszy z pustyni arabskiej do Medyny, reformator z prężeniem stwierdził stan poniżenia, w jakim zastał religję proroka. Zareagował gwałtownie, na sposób purytanów — z tą samą żarliwością wiary i surową moralnością. Podobnie jak purytanie, wahabizem w przeciągu krótkiego stosunkowo czasu zdobył władzę, którą Turcy pokonali w początkach w. XIX-go siłą militarną; wpływ duchowy wszakże pozostał i wytworzył wahabizem w Persji oraz senuzizm w Afryce północnej. Te różne ruchy reformatorskie nie naruszyły wszakże zasady braterstwa demokratycznego, która jest podstawą wiary i bardzo silnymi węzłami łączy wszystkie narody muzułmańskie.

Praca p. Stoddarda, oparta na obszernych dokumentach, stanowi bardzo cenne źródło w chwili obecnej, kiedy sprawy wschodnie są na porządku dziennym, nie tylko z punktu widzenia politycznego.

* **Warrington Dawson**. „*The Gift of Paul Clermont*”. Zacerpnawszy treści z dziejów ciężkiego życia młodego Francuza, skromnego pracownika, maltretowanego przez zwierzchników, którego wojna przemieniła w bohatera, rozwinęły się w nim bowiem zasadnicze cnoty rasy, — autor, Amerykanin, skreślił wzruszający obraz Francji z r. 1914—1918.

To świadectwo cudzoziemca, który napewno przez długie lata mieszkał w kraju, skoro tak dobrze odczuł umysłowość i poznał obyczaje Francuzów, i który zgromadził w książce swojej obserwacje, poczynione nie tylko w Paryżu ale i na prowincji — posiada szczególną dla nich wartość. To też krytyka francuska, stwierdzając to, wyraża życzenie, żeby prace podobne były jaknajbardziej rozpowszechniane wśród tych, którzy jeszcze nie zdali sobie dokładnej sprawy z cierpień, jakie znosiła ojczyzna.

Książka zadedykowana jest marszałkowi Joffre'owi: „wielkiemu sercu, które nigdy nie utraciło ufności, wielkiemu generałowi, który powstrzymał inwazję nad Marną, który ocalił pozycję, skąd sprzymierzeni mieli rozpocząć wypędzanie Niemców z Francji, który zreorganizował i przekształcił w narzędzie zwycięstwa tę siłę bezcenną i najwyższą: armję francuską”.

Z piśmiennictwa filozoficznego.

Rabindranath Tagore: „Nacjonalizm”. Przekład Władysława Skoraczewskiego. Słowo wstępne M. Weronicy. Nakładem księgarni „Ogniwo” — Warszawa 1921.

Poeta - marzyciel i prorok - pokusił się o rozwiązanie jednego z najtrudniejszych problemów historycznych.

Człowiek, który chlubi się tem, że nie jest ekonomistą, który wstręt niemal i pogardę żywi dla „federacji parowozów, tłoków i śrub”, przeciwstawia materializm Zachodu — idealizmowi Wschodu, ciasnotę „Nacji” — „braterskiej jedności wszystkich narodów i ras”, — i oczywiście widzi zbawienie w wyzwoleniu się z pod jarzma programów politycznych, wielką przyszłość przepowiada tym tylko narodom, które mają ideały moralne, zaś uprawiającym „harce ślepoty etycznej pod znakiem patriotyzmu” — nagłą i gwałtowną przepowiada zagładę. „Braterskiej jedności wszystkich narodów i ras” nie utożsamia jednak z kosmopolityzmem, którego bezbarwność zarówno nie jest dla niego celem rozwoju ludzkości, jak i zaciekle samowielbienie narodowe. Podstawę i źródło nacjonalizmu słusznie upatruje w odmiennych sposobach przewycięzania przeszkód na drodze rozwoju, przeszkód różnych dla różnych narodów i ras. Różnice te nie usprawiedliwiają wszakże podług niego dążności nacjonalistycznych.

Pod „Nacją” rozumie Rob. Tag. zrzeszenie polityczne i ekonomiczne, więc formę, jaką przybiera pewne zbiorowisko ludzkie dla osiągnięcia czysto mechanicznego celu. W organizacji tej, pchającej nieustannie dany naród do wzmagania swojej potęgi i produkcji, z zupełnem zapoznawaniem najwyższego prawa ludzkości — prawa moralnego, widzi siłę destrukcyjną, w której „ludność kraju zagubiła swoją osobowość”. Układ nacjonalnych stosunków politycznych i ekonomicznych doprowadzić musi „do zatarcia harmonii, jaką wytworzyć może jedynie życie społeczne”. Nacjonalizm — to okrutna epidemia zła, szalejąca dzisiaj w całym świecie, wżerająca się w rdzeń moralności. Nacjonalizm zatrut życie Wschodu, któremu „Nacje Zachodu” udzieliły z cywilizacji swojej jedynie tylko ukształtowania policji, armji, wydziału śledczego, agentury tajnej — jako jedynych wykładowców prawa i porządku.

Na ołtarzu nacjonalizmu wszyscy, którzy łudzą się, że są wolni, składają codzienne ofiary swojej wolności i człowieczeństwa. „Nacja” ze wszystkimi swojemi hasłami bogactwa i siły, ze swojemi przechwałkami patriotycznymi jest — jak sama przyznaje — największym złem dla drugiej Nacji, przeciwko której skierowane są wszystkie jej mozolnie obmyślane środki ostrożności. Rodzicem Nacji — panujący w świecie politycznym i handlowym „proces odczłowieczania”. Pod hasłem: „niech giną nieudolni” stworzył on ów aparat wspaniałej potęgi i zadziwiających apetytów, który zwie się Nacją Zachodu. Organizacja ta nie budzi człowieka. Pod wpływem jej idei całe narody tępią się wzajem systematycznie.

Wojna Nacji europejskich — to wojna rozrachunku o królowanie „systemu i polityki” tam, gdzie „panować winno serce ludzkie”, gdzie płynąć winna fala żywego ludzkiego obcowania. Już w wojnie tej wszakże rozpoczęła się agonja Nacji. Nie wróci już dawne stanowisko „tyranji zębów, pazurów i mac-

ków polipich". Człowiek odrodzi się w wolności i wyrwie się z pustki wewnętrznej, z przeświadczenia, że brzuch jest wszystkim, a serce niczem.

Cywilizacja polityczna, patriotyzm narodowy nie przetrwał — dowodzi Rab. Tag. — nigdzie długo. Ale kultura, której podwalinami były: człowieczeństwo i duchowe ideały, żyje dotychczas — w Chinach i Indjach. Wschód będzie czekał na swój czas, „jak czeka miłość, jak czeka piękno, samoofiarność, pokora i wiara”.

Za kraj nadziei, za kraj, w którym spełni się „najważniejsze zadanie doby obecnej — wzajemne zbliżenie się wszystkich ras świata, uważa Rab. Tag. nieskrępowaną przez tradycje Amerykę, w przeciwstawieniu do Europy, którą „zawiodła na manowce jej utrata wiary w człowieczeństwo”.

Takim jest bieg ciekawych, podniosłych medytacji hinduskiego wieszca.

Książka wydana, jak na nasze warunki, wspólnie. Przekład bez zarzutu.

R. C.

Z życia młodzieży.

(Poznańcy w Warszawie. Program pomocy dla akademików. Zjazd „Samopomocy”).

W połowie bieżącego miesiąca, z inicjatywy p. Prezydenta Ministrów, do Warszawy przybyło trzystu uczniów i uczennic szkół poznańskich.

Jak można się domyślać, celem tej wycieczki było zatarcie różnic b. dzielnic, co pomimo wysiłku najszlachetniejszych ludzi nie dało dotąd pożądanego wyniku.

P. Ponikowski, rozumując słusznie, iż budowlę należy zacząć od podstaw, zaprosił tę właśnie młodzież, która, wolna od uprzedzeń, zbrata się łatwo z młodzieżą innych dzielnic, tak, iż zatrą się wszelkie separatyzmy, a dorastające pokolenie twórczy już będzie nierozdzielalną całość.

Poznańcy zachwyceni byli przyjęciem, jakie im zgotowano, i gościnnością, z jaką ich przyjmowano.

Warszawa zachwycała ich, szczególnie zaś Łazienki, znane z Nocy Listopadowej.

* * *

Po konferencji z przedstawicielami prasy, na której przedstawiciele Centrali Akademickich Bratnich Pomocy przedstawili opłakany stan materialny, w jakim znajduje się obecnie młodzież akademicka, „Samopomoc” oficjalny organ C. A. B. P., we wstępnym artykule ostatniego numeru wysuwa konkretne

formy pomocy, jaką winno nieść młodzieży starsze społeczeństwo.

Autor odpiera zarzuty, by akcja podobna była filantropją: podobne pojmowanie sprawy jest mylne, bo tam, gdzie chodzi o przyszłość całego państwa, może być jedynie mowa o obowiązkach obywatelskich.

Pomoc dla młodzieży akademickiej pragnie „Samopomoc” oprzeć się na trzech świadczeniach:

a) *daninie*, która zebrana, wraz z daniną państwową stanowić może 2% tej ostatniej, obrócone zostałaby na fundusz długoletnich pożyczek. Z daniny da się osiągnąć około 200.000.000 mk.;

b) *pożyczce*, która w formie akcji kupowanych przez poszczególnych obywateli posłużyłaby do budowy domów akademickich, dając około 40.000.000.

c) *podatkach* dobrowolnych, które obracane będą na pokrycie niedoboru w funduszach wieczystych.

* * *

Dr. 22 b. m. odbył się w Warszawie zjazd okręgu warszawskiego „Samopomocy” Związku szkół uczącej się młodzieży, na który przybyli liczni delegaci.

Zjazd stanął na stanowisku apolityczności, zabraniając członkom należeć do organizacji ideopolitycznych, oraz uchwalił pracować w ścisłym kontakcie z władzami szkolnymi.

Z pośród referentów wyróżnił się p. T. Kopeć, który w zwięzłych słowach omówił sposoby pracy samopomocy szkolnych, wysuwając na plan pierwszy samokształcenie.

J. Ż.

Czasopisma.

„Wschód Polski”.

Duży 10-cio arkuszowy zeszyt wydawanego przez T-wo Straży Kresowej miesięcznika „Wschód Polski”, zamykający rok 1921, zawiera treść następującą: *Bolesław Srocki*: Przed rozstrzygnięciem sprawy wileńskiej, *St. A. Gr.*: Niemcy u Rosji, *Kazimierz Sochaniewicz*: Sprawa rewindykacji archiwów i mienia kulturalnego Polski od Rosji, *Stanisław Dangel*: Powstanie roku 1831 w Mińszczyźnie, *Jerzy Szurig*: Zagadnienia Bliskiego Wschodu, *Janina Kozłowska Studnicka*: Z dziejów rusyfikacji Litwy, *Edward Zaliszewski*: Nowy spis ludności w Rosji. Prócz tego bogaty dział przeglądów politycznych, prasowych oraz opracowań sprawozdawczych dopełnia całość numeru. Cena księgarska mkp. 500.—

TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.

Prenumerata „Tygodnia Polskiego” wynosi **kwartalnie 900 mk., miesięcznie 300 mk. za granicą podwójnie.** Cena pojedynczego numeru **80 mk.**

Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 60 mk. — Strona ogłoszeniowa dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.

Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch”, Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE” Redaktor: Leon Kozłowski.

Odbito na maszynie rotacyjnej drukarni „Praca”, Kredytowa 2/4. Telefon 69-70.